



Beata Cyganek

Perły

ziemi pszczyńskiej

Beata Cyganek

Perły

ziemi pszczyńskiej

zdjęcia Marcelina Wróbel

Pszczyna 2010

Teksty i redakcja: Beata Cyganek

Zdjęcia: Marcelina Wróbel

Korekta: Monika Kocbuch

Pomysłodawcą niniejszej publikacji jest Lokalna Grupa Działania „Ziemia Pszczyńska”, która sfinansowała projekt ze środków przyznanych na realizację Lokalnej Strategii Rozwoju na lata 2009-2015. Celem książki jest aktywizacja i promocja potencjału mieszkańców powiatu pszczyńskiego.

Projekt okładki, skład: Anna Góra-Wojtyła

Druk: Oficyna Drukarska Zdzisław Spyra, www.oficynadrukarska.pl

Wydawca:

Stowarzyszenie LGD "Ziemia Pszczyńska"
43-200 Pszczyna, ul. 3 Maja 11
tel. 32 210 02 12
e-mail: biuro@lgdziemiapszczynska.pl
www.lgdziemiapszczynska.pl

Oficyna Drukarska w Pszczynie

NIEAUTORYZOWANE KOPIOWANIE CAŁOŚCI LUB FRAGMENTU
NINIEJSZEJ PUBLIKACJI W JAKIEJKOLWIEK POSTACI JEST ZABRONIONE

Copyright © 2010 LGD "Ziemia Pszczyńska"

Wydanie I

Pszczyna 2010

ISBN 978-83-62674-07-7

Miejsko-Powiatowa Biblioteka Publiczna w Pszczynie	
Czytelnia	ZN-KLAS. 928-052 (438) 52
	NR INW. 116530

DS/11
10/-

Zamiast wstępu

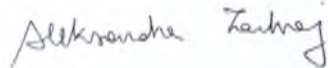
Szanowni Państwo,

książka, którą trzymacie w ręku odkrywa przed Wami największe bogactwo ziemi pszczyńskiej – jej mieszkańców, ludzi o niezwykłych pasjach, zainteresowaniach i talentach. Pięćdziesiąt osób i pięćdziesiąt niepowtarzalnych historii, z których wiele mogłoby stać się początkiem odrębnych opracowań. Wyjątkowość niniejszej pozycji polega na jej różnorodności. Są wśród naszych „Perły” zarówno zawodowcy, jak i amatorzy; są ludzie młodzi, u progu swych poszukiwań i dążeń oraz tacy, którzy swym doświadczeniem mogliby obdarować kilka pokoleń. Łączy ich jedno – wszyscy są ważną częścią tutejszej społeczności, stanowią o jej charakterze i specyfice, wpływają na rozwój społeczny i kulturalny miejscowości, gmin oraz całego powiatu pszczyńskiego.

Kiedy w czerwcu 2010 roku rozpoczynaliśmy realizację projektu, byliśmy świadomi, że nie wyczerpiemy tematu. Nie przypuszczaliśmy jednak, że uda nam się dotrzeć do tak wielu interesujących ludzkich historii. Mam nadzieję, że pozycja ta stanie się pretekstem do dalszych dyskusji i refleksji oraz zachęci innych do współpracy z naszym Stowarzyszeniem. Chcemy nadal odkrywać nasz potencjał i budować lokalną tożsamość.

Dziękuję wszystkim osobom zaangażowanym w pracę nad książką: autorkom tekstów i zdjęć, pracownikom biura i drukarni, a przede wszystkim bohaterom tej publikacji, którzy zechcieli podzielić się z nami kawałkiem swojej opowieści. Bez Państwa udziału ta książka nie mogłaby powstać.

W imieniu Zarządu



prezes stowarzyszenia

Lokalna Grupa Działania „Ziemia Pszczyńska”

Agnieszka Bieryt

Pawłowice

Trenuje od dzieciństwa. Jej tata prowadził w Żorach klub „Maratończyk”, bieganie było więc dla pani Agnieszki czymś naturalnym. Kiedy towarzyszem jej treningów został pies, rozpoczął się dla niej nowy rozdział sportowej aktywności. W canicrossie, czyli biegu człowieka i psa połączonych specjalną uprzężą, pani Agnieszka odniosła międzynarodowe sukcesy.

Dwukrotnie była Mistrzynią Polski (2006, 2007), co zaowocowało powołaniem jej do kadry narodowej. W 2007 roku zajęła trzecie miejsce na Mistrzostwach Europy w Niemczech oraz Mistrzostwach Świata we Włoszech. Biegła razem z Fankiem – psem pożyczonym od koleżanki – mieszkanką wyżła i charta. Swojego pupila, malamuta Brookiego, zostawiła w domu, bo był za słaby, żeby startować. Ale to właśnie z Brookim pani Agnieszka stawiała siedem lat temu pierwsze kroki w canicrossie. Potężny malamut przypominający małego niedźwiedzia w rzeczywistości jest niezwykle łagodną psiną. Uwielbia biegać, dlatego świetnie nadaje się na treningi, jednak kiedy się zmęczy, jego psia natura każe mu odpocząć, co nie zawsze jest pożądane podczas zawodów. Bo w canicrossie o ostatecznym sukcesie decyduje pies. Ponad pięćdziesiąt procent pracy musi wykonać właśnie on. Bieg opiera się na współpracy człowieka i psa, ale zwierzęcia do niczego nie można zmusić. Jak nie chce biec, to nie biegnie. Dziś z Brookim najczęściej biega brat pani Agnieszki. Ona sama, po urodzeniu córeczki, powoli wraca na bieżnię i rozpoczyna treningi. Codziennie biega około siedem kilometrów, nawet wtedy, kiedy pada deszcz. Mobilizuje ją tata, powtarzając, że nie jest z cukru. Biegają razem. Pierwszy duży sukces pojawił się w listopadzie – brązowy medal na Mistrzostwach Europy we Włoszech. Chciałaby jeszcze poprawić wynik z Mistrzostw Świata. Trzy lata temu do tytułu wicemistrzyni zabrakło jej kilku sekund, tylko dlatego, że pies zatrzymał się, żeby zrobić siku. Bywa i tak. Praca z czworonogiem jest pełna niespodzianek, ale pani Agnieszka co do jednego nie ma wątpliwości – biegać można z każdym psem. Wystarczy chcieć.





Marcin Ficek

Pawłowice

Nie przypuszczał, że stare drzewa rosnące na terenie Państwowego Gospodarstwa Rolnego, kiedyś staną się jego własnością.

Przez wiele lat był kierownikiem gospodarstwa. W 1993 roku, kiedy kupił grunt, razem z nim w jego ręce trafiły cztery piękne dęby, liczące sobie po kilkaset lat. Wszystkie są pomnikami przyrody. Wiek najstarszego szacuje się na około 400 lat, ale pan Marcin twierdzi, że drzewo jest dużo starsze. Porównał je z dębem uważanym za najstarszy w Polsce. Bolesław – bo tak ma na imię, rośnie nieopodal Koszalina. Ma osiemset lat, a jego obwód na wysokości 1,30 metra wynosi 6,91 metra. To tylko o 11 centymetrów więcej, niż mierzy okaz rosnący w Pawłowicach. Właściciel jest przekonany, że jego drzewo musi rosnąć dłużej niż cztery wieki. Pan Marcin uważa, że najstarszy pawłowicki dąb ma już około 560 lat. Cieszy się, że jego drzewo jest w dużo lepszym stanie, niż to spod Koszalina. Pawłowickie dęby rosną sobie spokojnie na terenie ciągle funkcjonującego gospodarstwa rolnego. Przez lata tak wrosły w krajobraz, że dziś trudno sobie wyobrazić to miejsce bez nich. Od trzydziestu lat pan Marcin przechodzi tędy idąc do pracy i z pracy. Cztery dęby szypułkowe w wieku około 300, 320, 445 i 560 lat mają się całkiem nieźle, ale wymagają zabiegów pielęgnacyjnych, które pozwolą im jeszcze przez wiele lat cieszyć się dobrą kondycją. Kilka lat temu przeprowadzono drobne roboty konserwatorskie, ale przydałoby się je ponowić. Właściciel szuka możliwości pozyskania funduszy unijnych, które pozwoliłyby wykonać niezbędne prace, a z czasem nawet udostępnić teren zwiedzającym. Na razie jednak dęby rosną sobie spokojnie, choć nie są osamotnione. Tworzą drzewostan parku o powierzchni około 2,5 hektara, liczącego 300 różnych gatunków drzew, ale to one nadają temu miejscu splendoru, majestatu i powagi. To one stanowią parkową starszynę. Wszak najmłodszy z nich ma już trzysta lat.

Tadeusz Gach

Pawłowice



W warsztacie samochodowym pana Tadeusza można zobaczyć niezwykle auta. Większość z nich trudno spotkać na drodze. Nie mają klimatyzacji ani powietrznych poduszek, a jednak ich właściciele są skłonni czekać nawet trzy lata, zanim na powrót dostaną kluczyki, a auto będzie gotowe do drogi. To kolekcjonerzy i koneserzy zabytkowych samochodów, które w warsztacie pana Tadeusza wracają do świetności sprzed wielu lat. Pierwszy warsztat otworzył w 1975 roku, ale renowacją starych aut zajął się nieco później. Jego pierwszą pasją były wyścigi samochodowe, jednak po śmierci przyjaciela, Andrzeja Bublewicza, przyszła refleksja, czy warto? Wtedy odkrył świat aut zabytkowych i frajdę, jaką daje spokojna przejażdżka takim odrestaurowanym „staruszką”. Jest zakochany w mercedesach – podoba mu się ich klasa i solidność. Pierwszym autem powstającej kolekcji był Mercedes V 170 z 1937 roku. Właśnie na tym modelu uczył się trudnej sztuki renowacji. Prace trwały siedem lat, ale efekt był zachwycający. Czarna limuzyna wzięła udział w wystawie mercedesów przy okazji pokazów lotniczych w Warszawie Góraszce i od razu zdobyła pierwsze miejsce w konkursie elegancji. Nagrodą był wyjazd do Salzburga na obchody stulecia fabryki Mercedesa. W 2000 roku auto pana Tadeusza pokonało ponad 1000 innych mercedesów, zdobywając ósme miejsce w przejeździe trasą prowadzącą między innymi przez góry. Samochód szedł jak burza. Nikomu nieznana załoga z Polski zainteresował się Mercedes i zaczął namawiać do założenia w Polsce klubu tej marki. Tak powstał Klub Mercedes Polska, którego pan Tadeusz jest współzałożycielem. W swojej kolekcji ma sześć takich aut, a jego ulubionym jest Mercedes V 170 cabrio z 1938 roku. Ma jeszcze opla z 1956 roku, bo jest jego rówieśnikiem i małego, czerwonego Fiata NSU Weinsberga z 1939 roku, niewielkie auto w sam raz dla wnuczka. Na zimę auta konserwuje i przechowuje w garażach. Na ulice znowu będą mogły wyjechać wiosną. Pan Tadeusz zauważa, że coraz więcej ludzi interesuje się zabytkowymi autami, bo nowe szybko tracą na wartości, a stare z upływem czasu coraz więcej zyskują. Renowacja samochodów to jego pasja. Aktualnie pracuje nad autem z 1908 roku. To najstarszy model w jego karierze. I chociaż praca bywa długa i uciążliwa, liczy się wyzwanie i satysfakcja, że to właśnie on tchnął w auto nowe życie.



Dariusz Grodoń

Kryry

Zaczął się wszystko od tego, że usłyszał Krzysztofa Handke recytującego „Lokomotywę” Juliana Tuwima po śląsku. Nagrał tekst i nauczył się go na pamięć. Śląska „Lokomotywa” w jego wykonaniu brzmiała równie zabawnie. Darek, uczeń pierwszej klasy gimnazjum, bardzo lubi śląską gwarę i nie wyobraża sobie, że kiedykolwiek może się to zmienić. Nawet gdy myśli o swoim dorosłym życiu i występowaniu na scenie – najlepiej w kabarecie – zaraz dodaje, że musi to być śląski kabaret, taki, jaki już teraz założył w swojej szkole. Nazwał go „Krauza” czyli sloik. Lubi występować i wcale nie ma treny. Ostatnio prowadził gminne dożynki razem z panem Bogusławem Musiolikiem, któremu obcy ze sceną można tylko pozazdrościć. Darkowi świetnie poszło. Trzech stron tekstu nauczył się na pamięć i na scenę wyszedł bez kartki. Gdyby czegoś zapomniał, zacząłby improwizować, bo mówiąc gwarą czuje się jak ryba w wodzie. Czasami tylko trudniej

się dogadać, jak pojedzie nad morze. Na plaży Hanysów nie wszyscy rozumieją, wtedy lepiej powiedzieć, że jest się Ślązakiem. Jego ulubionym słowem jest *łonaczyć*, bo to słowo-wytrych. Wszystko można nim wyrazić. *Jo to przełonaczył, łon z łoną łonaczą, nie łonacz*. I nich ktoś powie, czy jest gdzieś na świecie jeszcze taki język, który wszystkie znaczenia zawiera w jednym wyrazie?

Darek chciałby zdobyć tytuł Ślązaka Roku. Ma już za sobą pierwsze sukcesy w lokalnych konkurencjach. Jeszcze jako uczeń trzeciej klasy szkoły podstawowej zajął pierwsze miejsce na międzysgminnym przeglądzie w Goczałkowicach-Zdroju. Uczestniczyło ponad trzydzieści osób, a on okazał się najlepszy! Startuje również z powodzeniem w zawodach w Suszcu. W 2009 roku był zdobywcą pierwszej nagrody i statuetki „Hanyska” na Gminnej Olimpiadzie Gwary Śląskiej wygłaszając monolog „*Gelynder*”.

Brał również udział w konkursie na Ślązaka Roku 2009 w kategorii młodzieżowej opowiadając o *feryjach u babki*. Darek stara się dobrze uczyć, bo chciałby iść do szkoły aktorskiej. Najlepiej zaraz po gimnazjum, do specjalnej klasy w szkole średniej, w której mógłby dalej rozwijać swoje zainteresowania. Chce występować, bo nic nie sprawia mu większej satysfakcji, niż radość na twarzach słuchaczy.

Marek Gruszka

Kobiór

Nie wyobraża sobie, że mógłby nie grać na gitarze. To największa i jedyna pasja jaką ma. Kwestia gdzie i z kim się gra, jest wtórna. Nawet jak nie ma gitary w ręce, to czuje, że gra mu w myślach, w duszy. Grać nie przestaje nigdy, bo muzykiem po prostu się jest. Grą na gitarze zaraził go starszy brat, choć od samego początku ich muzyczne upodobania były inne. Zaczął grać w podstawówce: zdecydowanie, mocno, pewnie: *Dom wschodzącego słońca*, riffy Hendrixa – to był od razu prawdziwy rock and roll. Tak jest zresztą do tej pory. Nie gra romantycznych ballad.

Jego największym muzycznym autorytetem pozostał Jimi Hendrix – legenda i wirtuoz gitary elektrycznej. W swoim muzycznym życiorysie brał udział w wielu różnych projektach. Grał w różnych składach, wśród których jednym z ważniejszych był zespół Sebastiana Riedla - Cree. Ponad dwa lata był ich gitarzystą, razem nagrali trzy płyty, ale później ich drogi się rozeszły. Od dwóch lat jest liderem Kobiórskiej Formacji Muzycznej, zespołu, który powstał z jego inicjatywy. Zaczynali w trójkę, dziś KFM to pięć osób, na których spójne brzmienie składa się męski wokół, dwie gitary, klawiszowe, bas i perkusja. Zaraz po wykrystalizowaniu się składu pojechali na festiwal Ryśka Riedla ...i wygrali. Potem był festiwal w Kaliszu, gdzie również zostali laureatami. W ubiegłym roku wygrali „Żubrowisko”. KFM to nie jedyne „dziecko” Marka Gruszki. Cztery lata temu po raz pierwszy zorganizował w swojej miejscowości koncert o wdzięcznej nazwie „Uszy na śmietniku”. Spontaniczna impreza plenerowa narodziła się w grupie muzyków, których w Kobiórze nie brakuje. W koncercie biorą udział zespoły rockowe, które Marek sam selekcjonuje. Nazwa przedsięwzięcia przewrotnie ma przypominać, że uszy służą do słuchania muzyki.

Ma trzy gitary: dwie elektryczne (jedna jest wygraną) i jedną akustyczną. Kiedyś była jeszcze czwarta, ale nieopacznie po jednym z koncertów zostawił ją w aucie i ktoś ją ukraść. Szkoda, bo instrument, w dużym stopniu zrobiony przez niego samego, świetnie brzmiał. Marek żałuje, że muzyka rockowa nie jest teraz na topie, trudno się z nią przebić, zaistnieć w mediach. Ale nawet pozostając gdzieś na obrzeżach popularnych nurtów muzycznych, lider KFM ciągle pozostaje prawdziwym rockmanem.





Bogusław Grzywa

Piasek

W wieku 45 lat zdał sobie sprawę, że nie przewróci świata do góry nogami. Zdecydował, że wróci do tego, co było w nim od zawsze – do muzyki. Od najmłodszych lat lubił występować. W czasach szkolnych i studenckich grał w zespole, tańczył w balecie, interesował się bigbitem. Po studiach założył rodzinę i zaczął zarabiać na życie pracując jako geodeta. Nie było czasu na muzykę i występy na scenie, ale tęsknota za śpiewem ciągle w nim tkwiła. Najczęściej dawał jej wyraz podczas rodzinnych uroczystości. Pierwszą muzyczną bajkę dla dzieci napisał na prośbę kolegi, odgrywającego podczas przedstawień postać niejakiego krasnala Bodzio. Chodziło o krótką rymowaną, z którą różnie byliby rozpocząć spotkanie. Powstała w 2000 roku piosenka „Krasnal Bodzio”, szybko okazała się hitem. Z czasem zaczęły pojawiać się kolejne zamówienia, wśród nich również potrzeba adaptacji na potrzeby piosenki historii o Jasiu i Małgosi. I tu pojawił się problem: jak nieść dzieciom radość i zabawę, a pisać o Babie Jadze, co w piecu zginęła? A z drugiej strony, jakaś konsekwencja, prawda i morał w bajce muszą być,

więc pan Bogusław wymyślił nowe zakończenie: *Baba Jaga poparzona/ Zwiła kominem jak szalona.(...)Na swej miotle w chmurach leci./ Już nie będzie straszyć dzieci*. Pisanie tekstu nie przychodzi mu łatwo. Nie wystarczy proste tratatata. Tekst musi być lekki i skondensowany. Z upływem czasu ma dużo większą łatwość rymowania, ale słowa piosenki ciągle są dla niego wyzwaniem i czasami napisanie kilku zwrotek zajmuje całe dwa miesiące. Inaczej jest z muzyką. Choć w tej dziedzinie jest samoukiem, tworzy od ręki, przygrywając sobie na gitarze lub keyboardzie. Pierwsze śpiewane bajki testował w przedszkolu w Piasku, bo wiedział, że maluchów oszukać się nie da. I choćby obiecało im się lody, to jak piosenki są nudne – dzieci słuchać nie będą. Dzięki kontaktom z miejscowymi dziećmi, narodziły się „Pierniczki”. Grupa uczniów pierwszej i drugiej klasy tutejszej szkoły podstawowej przez dwa lata występowała razem z nim, odgrywając bajkowe scenki. Dziś niektórzy z nich mają już po 18 lat. Myśl o utrwaleniu swoich dokonań w postaci książki pojawiła się, kiedy miał już szesnaście bajkowych piosenek. Żeby zrealizować marzenie, sprzedał działkę, bo wydanie książki kosztuje. I tak powstały – z kolorowymi ilustracjami, tekstami piosenek, nutami i płytą do słuchania – „Bajki Piernika”.

Jan Gwóźdź

Wola

Szewc bez butów chodzi, a pan Jan bez *słomionki*. Choć w swoim życiu zrobił ich setki, w jego domu trudno znaleźć choćby jedną. Każdy kto przychodzi w odwiedziny, ogląda, chwali, że ładne i dostaje wyplatany ze słomy koszyczek w prezencie. Tak jest co roku. Ludzie przychodzą też do pana Jana po miotły z brzoźowych witek, a na wiosnę – po wielkanocne palmy zrobione z trzynastu gatunków krzewów i drzew, ale to *słomionek* robi najwięcej.

Ich wyplatanie to zajęcie sezonowe. Pan Jan pierwsze przymiarki do pracy zaczyna na trzy tygodnie przed żniwami. Szuka pola z żytem, bo tylko długa żytnia słoma nadaje się do plecenia. Prosi wtedy gospodarza,

żeby pozwolił mu naciąć jeszcze nie w pełni dojrzałego zboża. Zielone łodygi mają bowiem odpowiednią elastyczność i nie są łamliwe. W domu obiera je z niepotrzebnych łusek i tak przygotowane czekają do grudnia. Zanim przystąpi do pracy, musi jeszcze przygotować owijkę. Będzie nią owijał wiązki słomy, aby połączyć je w jedną całość. Czerwone pędy *siby* zbiera na łąkach, potem przecina je wzdłuż na połowę i każdą połówkę wydrąża tak długo, aż zostaje z niej tylko czerwona skórka, która sama skręca się na jego palcu. Pleść zaczyna w grudniu, przed świętami. Siada wtedy w kuchni i wyplata koszyczki z ciasno ubitych wiązek słomy wzmocnionych owijką. Najtrudniej zacząć, bo słoma rozłazi się we wszystkie strony. Swój pierwszy koszyk poprawiał aż pięć razy, zanim wyszło, jak należy. To było ze czterdzieści lat temu. Wyplatania *słomionek* nikt go nie uczył. Z dzieciństwa zapamiętał obraz dziadka z sąsiedztwa, który robił takie rzeczy, a on go obserwował. Kiedy dorósł, przyjrzał się jakiejś starej *słomionce* i sam spróbował. Udało się. We wsi jest jedynym, który chce i potrafi je zrobić. Nic dziwnego, że jego wyroby są towarem deficytowym. Kiedyś w *słomionkach* trzymało się niewypieczony jeszcze chleb. Dzisiaj najczęściej służą jako ozdobne naczynia na jajka i owoce. W ubiegłym roku jego *słomionka* pojechała aż do Częstochowy, na Jasną Górę. Był w niej dożynkowy chleb.





Anna Haka

Wisła Wielka

Jest graficzką. W Wiśle Małej przy szkole podstawowej otworzyła kółko plastyczne, w którym dzieci uczą się podstawowych technik graficznych. Lubi pracę z dziećmi. Jej talent plastyczny jest również wykorzystywany podczas organizacji gminnych uroczystości. Na dożynki razem z innymi mieszkańcami wsi budowała postaci ze słomy, dekorowała scenę

plenerową i kościół. Działa również w pszczyńskiej grupie Plessart i częstochowskim ARTLOCK-u. Od dzieciństwa wiedziała, że chce zajmować się plastyką, choć wtedy jeszcze nie przypuszczała, że będzie to właśnie grafika, a jej narzędziami pracy będą nie tyle malarska paleta z barwnymi farbami, co dłutka i grube linoleum, w którym wycina wzory, zanim odbije je na papierze. Zdecydowała się na wydział artystyczny filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie, bo uczelnia ta kładzie nacisk zarówno na część związaną z pedagogiką i profesją nauczyciela, jak i działaniami artystycznymi. Podczas studiów ciągle wahała się, jaką specjalizację wybrać: malarstwo czy grafikę? Ostatecznie zdecydowała się na to drugie, a prace malarskie stały się tylko aneksem do przygotowanych grafik. Tworzy linoryty. Na płytę linoleum nanosi rysunek, który następnie wycina za pomocą różnego rodzaju dłutek i noży. Tak powstaje matryca. Pokrywa ją farbą drukarską, nakłada papier i odbija grafikę ręcznie lub na prasie drukarskiej. Wszystkie te czynności kojarzą się bardziej z ciężką pracą fizyczną, niż artystyczną ekspresją. Wystarczy jednak spojrzeć na gotowe odbitki, żeby nie mieć wątpliwości, że grafika jest również sztuką. Eksperyment i improwizacja nadają każdej odbitce indywidualny charakter. Grafiki Ani Haki to puste przestrzenie, bezkres, tajemnicze, nieco księżycowe krajobrazy. Jedyne ślady cywilizacji są maszyny latające. Sama przyznaje, że do stworzenia tego cyklu zainspirowało ją najbliższe otoczenie. Jej pięknie położony dom znajduje się przecież na takim pustkowiu: z dala od ludzi, ale za to blisko natury.

Wśród swoich prac ma również cykl zatytułowany „Wyborcy-Wybierani”. Rozpoczęła go od portretu afgańskiej kobiety protestującej przeciwko braku prawa do głosowania. Wykonała też portret Juszczeki, Putina, Busha i Lecha Kaczyńskiego. Kiedy powstawał ten ostatni, nawet przez myśl jej nie przeszło, że za jakiś czas grafika nabierze zupełnie nowego wyrazu.

Kazimierz Hanusek

Wiśła Mała

Dopóki pracował w kopalni, co roku uczestniczył w górniczym święcie – spotkaniu gwarków. Pamięta imprezy organizowane według tradycyjnego schematu: dwie ławy rywalizujących pracowników, na ławach kufle pełne piwa, golonka, Wysokie Prezydium w sprawach piwnych nieomyłne i zero kobiet. Z czasem kopalniane spotkania coraz bardziej powszechniały, wszędzie wkraczała komercja, a on tęsknił za wyjątkowością dawnych Gwarków. Właśnie dlatego, już jako emeryt, założył Stowarzyszenie Gwareckie, które skupia emerytowanych górników i czynnych pracowników kopalń. Dzięki działalności stowarzyszenia, istniejącego już od dwunastu lat, pan Kazimierz i pozostali członkowie, kontynuują tradycję spotkań barbórkowych. Organizowane przez nich imprezy cieszą się wielką popularnością nie tylko wśród byłych górników. Mają czterdziestu stałych członków i wielu sympatyków, a w ogniskach, biesiadach i balach uczestniczą całe rodziny. Tylko Gwarki, zgodnie z tradycją, pozostają bez zmian – są wyłącznie dla mężczyzn.

Pan Kazimierz nie tylko jest prezesem stowarzyszenia. Na jego domu wisi tabliczka z napisem: sołtys. Jest nim od ośmiu lat. Swoje zdolności lidera wykorzystuje na wszystkie możliwe sposoby. Potrafi ludzi zorganizować, zapalić do pracy. Dzięki temu wiele spraw udało się we wsi załatwić, na przykład rozbiórkę starego domu nauczyciela. Mieszkańcy sami rozebrali rudę i uporządkowali teren. Podobnie ma się rzecz z pracami przy zabytkowym kościele. Gdzie tylko się da, szuka środków na remont drewnianego zabytku. Parafianie zadbali o obejście, powstał parking i miejsce plenerowych spotkań. Cieszy się, że urok kościoła w Wiśle Małej przyciąga młodych ludzi z bliższej i dalszej okolicy, wybierających właśnie to miejsce na złożenie ślubnej przysięgi. Niedawno zrezygnował z funkcji prezesa klubu sportowego. Był nim jedenaście lat, niestety, zdrowie wymaga zwolnienia tempa i wycofania się z najbardziej absorbujących zajęć. Trochę żałuje, że nie dotrzymał obietnicy wybudowania boiska, ale na szczęście dla inwestycji zapaliło się już zielone światło. O przyszłość stowarzyszenia jest spokojny. Z roku na rok przybywa młodych członków, którzy ani myślą zapomnieć o gwareckich tradycjach.





Damian Herman

Warszowice

Czterokrotny Mistrz Polski w curlingu uczy informatyki w Akademii Wychowania Fizycznego w Katowicach. Kiedy w 2004 roku zwrócono się do niego o pomoc przy budowaniu klubu tej dyscypliny sportowej na Śląsku, zgodził się z ochotą, bo lubi nowe wyzwania. Może jakąś rolę odegrały również względy osobiste? W 1999 roku wyjechał na stypendium do Anglii. Tam jego najlepszym kolegą był pewien Szkot. Stąd jego szczególny sentyment do Szkocji, a to przecież kraj, gdzie curling jest niemal sportem narodowym. Wprawdzie Szkoci spierają się z Holendrami o to, kto był pierwszy, ale pan Damian jest przekonany, że pierwszeństwo ma Szkocja.

Mówi się, że curling to gra dżentelmenów i szachy na lodzie. Coś w tym rzeczywiście jest. Curling nie jest dyscypliną masową, to gra strategiczna. Ale strategia to nie wszystko, trzeba mieć też niezłą koordynację ruchów, wycucie siły i poczucie równowagi.

Ważna jest również ogólna kondycja,

bo podczas trzydniowego turnieju rozgrywa się dwa lub trzy mecze dziennie, po około dwie godziny każdy. Oczywiście największy wysiłek trzeba włożyć w szczotkowanie, czyli energiczne machanie specjalną miotłką po tafli lodu, aby kamień dotarł w odpowiednie miejsce. To właśnie szczotkowanie lodu i gładko sunące po tafli kamienie są charakterystyczne dla tej dyscypliny. Pan Damian cieszy się, że może korzystać z toru do curlingu w pobliskich Pawłowicach. Zimą to najlepsze miejsce do treningów. W gminie Pawłowice pan Damian utworzył też sekcję curlingu. Najpierw skrzyknął swojego siostrzeńca i jego kolegów, bo najłatwiej było ściągnąć rodzinę. Teraz do curlingu zachęca gimnazjalistów. Chciałby, aby choć niektórzy z nich mogli się rozwijać i osiągać sportowe sukcesy. Jednak największym marzeniem pana Damiana jest pojechać kiedyś z córkami na olimpiadę jako trener, bo curling to również gra rodzinna. Na razie córeczki są jeszcze małe, ale kto wie, co będzie za kilka lat? Tym bardziej, że Mistrza Polski mają pod własnym dachem.

Stanisław Hochuł

Goczałkowice-Zdrój

Ojciec pana Stanisława miał talent do rysowania. Bracia matki byli kowalami. Nieopodal domu znajdowała się kuźnia, do której mały Staś zachodził podpatrywać, jakie cuda można wykuć z metalu. Może właśnie te fakty zaważyły na wyborze drogi życiowej? Najpierw liceum plastyczne, potem Akademia Sztuk Pięknych w Krakowie na wydziale rzeźby, wreszcie własna pracownia, którą otworzył w Goczałkowicach - Zdroju w 1971 roku.

Rzeźbiarstwo to dla niego zawód i pasja. Nie wyobraża sobie, że mógłby robić coś innego. Jego rzeźby to najczęściej monumentalne odlewy z metalu lub żywicy. Zanim jednak powstanie odlew, pan Stanisław długie godziny spędza w pracowni lepiąc z gliny. Gлина jest plastyczna, można jej dodać lub ująć, ale sprawia też pewne problemy. Gliniane rzeźby muszą być nieruchome, zawsze w jednej pozycji, nie można ich odłożyć na półkę, przestawić, inaczej ułożyć. Kiedy gliniana rzeźba jest już gotowa, nakłada na nią gips. Z gipsu powstają negatywy, które służą do przygotowania odlewów.

Rzeźbienie monumentów to długotrwały proces i ciężka praca fizyczna. Pięćdziesiąt procent pracy rzeźbiarza to wysiłek fizyczny, bo jak inaczej nazwać zmaganie się z materią, która w niczym nie przypomina ostatecznego dzieła. Kilogramy gliny, drewniane podpórki, metalowe zbrojenia – bardziej kojarzą się ze składem budowlanym niż pracownią artysty.

W Katowicach na Placu Andrzeja stoi Pomnik Ofiar Katynia jego autorstwa. Rozwiązanie architektoniczne zaprojektował Marek Skałkowski. Praca nad rzeźbą, przedstawiającą trzy męskie postacie, pochłonęła mu trzy czwarte roku. Jest dumny, że właśnie jego pomysł wygrał konkurs. Stworzył też wiele rzeźb sakralnych: św. Jerzy w miejscowym kościele, Matka Boska Anielska w Kleszczowie pod Belchatowem i inne figury znajdujące się w Katowicach-Brynowie, Rybniku-Kamieniu, czy Gostyniu. Trudno je wszystkie zliczyć. Jest również autorem rzeźb wykonanych w blasze – goczałkowickiej fontanny, kozic i jelonków znajdujących się w Galerii Rzeźby Śląskiej w Chorzowie oraz pamiątkowych tablic, na przykład tej upamiętniającej licealistów z Tychów - ofiary lawiny nad Morskim Okiem.

Według pana Stanisława w rzeźbieniu najważniejsze jest poczucie bryły, przestrzeni i światła. W dobrym oświetleniu rzeźba zyskuje, w złym – wydaje się mniej ciekawa. I jeszcze jedno: rzeźba pomnikowa musi dobrze wyglądać, bez względu na to, z jakiego miejsca jest oglądana.





Martyna Karolak

Golasowice

Jeszcze kilka lat temu codzienne, czterdziestopięciominutowe, poranne i wieczorne spacery z psem, wydawałyby się jej ograniczeniem własnej wolności. Dziś wstaje o wpół do szóstej rano, żeby Luka skoro świt mogła pobiegać po polach i łąkach. Bo posiadanie psa to nie ograniczenie, ale odpowiedzialność.

We wsi jest chyba jedyną osobą, która wyprowadza psa na spacer, ale też Luka nie jest zwykłym psem. To pies do zadań specjalnych, pies terapeuta. O dogoterapii zaczęła myśleć, kiedy rozpoczęła pracę w ośrodku dla dzieci z głębokim upośledzeniem umysłowym w Jastrzębiu-Zdroju. Metoda pracy z psem wydawała się idealna do prowadzenia zajęć z niepełnosprawnymi dziećmi. Mama zasugerowała jej, żeby wykorzystać Lukę, labradorkę, którą siostra pani Martyny dostała od zaprzyjaźnionej rodziny wychowującej niepełnosprawne dziecko i prowadzącej hodowlę tej rasy.

Po raz pierwszy Luka spotkała się z dzieckiem niepełnosprawnym jeszcze przed specjalistycznym szkoleniem, ale już wtedy widać było, że pies inaczej traktuje dziecko niż pozostałych. To ostatecznie przekonało panią Martynę, żeby zrobić z niej profesjonalnego psiego terapeuty.

Dziś Luka ma na swym koncie wiele godzin spotkań

z chorymi dziećmi. Regularnie jeździ do ośrodka w Jastrzębiu. Swoim zachowaniem powoduje, że przykurczone mięśnie dzieci rozluźniają się, a chęć dotknięcia psa pozwala pokonać wiele ograniczeń. Pani Martyna razem z Ośrodkiem Pomocy Społecznej w Pawłowicach zrealizowała projekt skierowany do dzieci z lekkimi dysfunkcjami. Luka pomagała w nauce angielskiego i arteterapii. Dzieci tak bardzo polubiły psa, że trzeba było zorganizować dodatkowe spotkania, już poza projektem. Psi terapeuta nie powinien w tygodniu przepracować więcej niż sześć godzin, dlatego pani Martyna od niedawna ma do pomocy Demi – szczeniaka Cavaliera King Charlesa Spaniela, rasy wykorzystywanej dawniej do polowania na ptactwo. Demi jest dużo mniejsza od Luki i bardzo przyjacielska. Wykonywania pierwszych poleceń uczyła się u swojej pani, ale rozpoczęła już profesjonalne szkolenie i wkrótce zdobędzie certyfikat psa terapeuty. W stosunku do psów pani Martyna jest bardzo konsekwentna. To podstawa współpracy ze zwierzętami. Trochę inaczej postępuje jej mąż i łatwo ulega urokowi psiego spojrzenia, proszącego o zakazane smakołyki. Bo ułożona i posłuszna Luka, jak każdy pies, zna również sztuczki, które z dogoterapią nie mają wiele wspólnego.



Anna Kine

Suszec

Gdy zmarła ciotka Hyjdla, to do trumny ubrali ją w piękne ślubne ubranie. Bo ciotka Hyjdla, tak samo jak ciotki Hanka, Ulka, Neszka, Maryjka i Truda oraz matka pani Anny - Francka, wielką wagę przywiązywała do stroju. Pochodziły z zamożnej rodziny, więc na stroje można było wydać trochę więcej. I chociaż pani Anna w tradycyjnych śląskich strojach sama już nie chodziła, to wspomnienie szykownych ciotek mocno zapadło jej w pamięć. Ubrania towarzyszyły ciotkom przez całe życie.

Kiedy jedna umierała, kolejna dziedziczyła *szumne*, choć wysłużone *kiecki*, *jakle* i *zopaski*. W końcu ubrania ciotek trafiły do rąk pani Anny. Kiedy ludzie w Suszcu dowiedzieli się, że w swoich szafach trzyma oryginalne śląskie stroje, sami zaczęli znosić jej ubrania po swoich zmarłych. Kolekcja rosła. Dziś pani Anna samych fartuchów ma 70 sztuk: malowane i haftowane, jedwabne i zwykłe, z bawełnianego płótna, ubierane na co dzień. Najbardziej ceni ubranie ciotki Maryjki. Zielony komplet (*kieckę* i *jaklę*) oraz elegancki czarny fartuch dostała Maryjka od rodziców w piętnastym roku życia. A ponieważ była drobna i malutka, dziś w jej strój mieści się dziesięcioletnia wnuczka pani Anny. Ona sama śląski strój odkryła na nowo, kiedy przeszła na emeryturę. 3 maja, w Boże Ciało, na odpust, żniwne i w Święto Niepodległości paraduje do kościoła wystrojona tak, jak niegdyś jej ciotki. Dzięki temu młodzi ludzie mają okazję zobaczyć, jak dawniej wyglądały wiejskie kobiety. Wydała folder, w którym pięknie opisuje wszystkie części damskiej garderoby. Współpracuje też z krawcową, jedną z ostatnich potrafiących szyc „po staremu”: z kontrafałdą, bufkami, satyną na dole *kiecki* i tym wszystkim, co decydowało o wyjątkowości ubrań. W swojej kolekcji ma też oryginalne *mustro* - wykrój według którego szyto *jakle* oraz własnoręcznie uszyty *kabotek*. Za wzór posłużył jej ponad stuletni, ręcznie szyty i haftowany egzemplarz. Emerytowana nauczycielka i dyrektorka szkoły w Suszcu jest również założycielką zespołu teatralnego. Na początku była reżyserem i kierownikiem grupy. Teraz jest już tylko aktorką, a ponieważ tematyka przedstawień ściśle związana jest ze śląską kulturą, zgromadzone przez panią Annę stroje wykorzystywane są do przedstawień. Również własnym dzieciom stara się przekazać szacunek do tradycji. Jedna z jej córek kompletny śląski strój otrzymała jako prezent z okazji zakończenia studiów.



Romuald Kłakus

Kobiór

Z zawodu technik dentystyczny, z zamiłowania – człowiek teatru. Teatr pasjonował go już w liceum i podczas studiów. W 2002 roku założył Kobiórski Teatr Kulturalny, którego członkowie wywodzili się z nieformalnego Stowarzyszenia Starych Rowerów. Członkowie stowarzyszenia należeli do osób, które lubią rzeczy niekoniecznie nowe, ale za to z klasą. Znajdowali na złomie stare rowery i przywracali je do życia. I właśnie ci „dziwacy”, opierający się urokowi popularnych „górali”, stanowili trzon teatralnego zespołu. Zaczęło się od „Kartoteki” Tadeusza Różewicza. Pan Romuald

zaadaptował tekst na potrzeby amatorskiej grupy. Tak powstała „Kartoteka Kobiórska”, która od razu spotkała się z entuzjastycznym przyjęciem, nie tylko w rodzimej miejscowości. W 2003 roku wystawili spektakl w Teatrze Małym w Tychach.

Na widowni zabrakło miejsc! „Kartoteka” była o tyle wdzięczną sztuką, że dawała możliwość zaangażowania dużej liczby osób. W przypadku teatrów amatorskich to ważne, by każdy aktor choć na chwilę mógł pokazać się podczas przedstawienia. Taką zasadą kieruje się pan Romuald do tej pory. Może dlatego teatr z Kobióra ciągle działa i ma się dobrze, bo wszystkim chętnym pozwala zaistnieć na scenie. Premiera sztuki to ważne wydarzenie. Trzeba przygotować dekoracje, uszyć kostiumy. Szczególnie ostatnie przedstawienie, będące kompilacją dwunastu różnych bajkowych motywów i postaci, było charakteryzatorskim wyzwaniem, bo na scenie znaleźli się między innymi Żwirek i Muchomorek, Baba Jaga i Kopciuszek. Pan Romuald grał postać z „Muminków” - Włóczykija. Przedstawienie pomyślano w ten sposób, by każdy znalazł w nim coś dla siebie. Dzieci fascynowała bajkowa historia, dorośli odczytywali głębszy sens wygłaszanych dialogów. Zabawa była przednia. Spośród swoich licznych dokonań aktorskich Pan Romuald najchętniej wraca do roli przewodniczącego rady w przedstawieniu „Sesja nadzwyczajna, czyli odprawa posłów niecných, przepraszam – greckich”. Ma problem ze wskazaniem ulubionej sztuki. Nie chce ich oceniać i wartościować, bo sztuki teatralne są dla niego niczym dzieci. Jak tu z gromadki wybrać ukochane? Każde jest inne, ale każde równie ważne.

Kois Grażyna

Kobiór

Kiedy topnieją śniegi, budzi się w niej pasja wiosenno- letnia. Jest nią praca w pasiece. O pszczołach wie chyba wszystko, jest przecież mistrzynią pszczelarską. Pierwsze dwa ule postawiła na działce w Kobiórze osiemnaście lat temu, ale już w dzieciństwie zaznajamiała się z tymi maleńkimi, pracowitymi owadami. Bartnictwo było w jej rodzinie tradycją. Dziś ma dwadzieścia rodzin pszczelich, a tajniki wiedzy przekazuje innym,

mniej doświadczonym pszczelarzom. Pasiekę nazwała „Trzmiel”. To od przezwiska, jakiego dorobiła się będąc nauczycielką. Dwadzieścia jeden lat przepracowała w Liceum Medycznym w Pszczynie. Uczniowie mówili o niej „Trzmielu”. Pamięta 2002 rok. Trwały matury. W ciągu dnia siedziała w komisji, wieczorami odwirowywała miód. Codziennie jeden ul, a miała ich siedem. Praca trwała non stop przez trzy – cztery tygodnie. Mąż żartował, żeby wlała miód do wanny, bo było go tak dużo! Jak przysłało na pielęgniarkę, interesuje się apiterapią. Rocznie zjada ponad dwa kilogramy pszczelego pyłku zmieszanego z miodem. Najbardziej smakuje jej miód gryczany i kobiórski, powstający na nieużytkach lasów państwowych. Po śmierci męża, hodowcy gołębi, który zginął w chorzowskiej hali, miód uratował jej życie. Nie mogła jeść, ale miód wystarczył za całe pożywienie. Pani Grażyna na własnej skórze doświadczyła jego dobroczynnego działania. Chciałaby, żeby wiedza o pszczołach była bardziej rozpowszechniona, dlatego z pokazami miodobrania jeździ do okolicznych szkół i przedszkoli.

Razem z pierwszymi przymrozkami pszczoły ustępują miejsca pasji jesienno-zimowej: haftowaniu, szydełkowaniu i dzierganiu na drutach. Na ścianie w salonie wiszą wykonane haftem krzyżowym obrazy Klimta, w oknach koronkowe firanki, na stole serwetka. To tylko część prac, które zadziwiają kunsztem i precyzją wykonania. W swoich zbiorach ma jeszcze Wyspiańskiego. Dziecięce portrety przy pomocy kolorowych nici przenosi na płótno. Haftowanie ją uspokaja i wycisza, pozwala porozmawiać z samą sobą i nie tylko.

Co roku, zaraz po Wszystkich Świętych, pani Grażyna zarabia ciasto z czterech kilogramów mąki i wszyscy członkowie rodziny zasiadają do lepienia piernikowych chat. Cała kuchnia jest wtedy „zapierniczona”, ale dzięki temu, tuż przed Bożym Narodzeniem, wszyscy bliscy otrzymują piękne, pachnące miodem życzenia.





Tadeusz Kolny

Studzionka

Tadeusz Kolny początek lat 80. spędził w jednostce wojskowej. Był żołnierzem marynarki wojennej. Wtedy jeszcze służba była obowiązkowa. W wojsku nauczył się praktycznego użycia szałowego sznurka. Było go na statku pod dostatkiem, więc młodzi adepci sztuki wojennej wypłacali torby i koszyki.

Przy wypłataniu czas szybciej mijał. Spotkanie z szałowym sznurkiem okazało się jednak dla pana Tadeusza czymś więcej, niż chwilowym sposobem na nudę. W 1986 roku oddał do Cepelii swoją pierwszą figurkę – postać stworzoną z papieru, drutu i sznurka właśnie. Ekspert od artystycznego rzemiosła i etnografowie wykazali niedociągnięcia, powiedzieli co trzeba poprawić i ulepszyć, ale i tak Cepelia zamówiła u niego czterdzieści postaci. Od tamtej chwili minęło ponad 15 lat, a pan Tadeusz nadal tworzy szałowe ludziki: wiejskich grajków ze skrzypkami i fujarkami, kominiarczyki, koty w butach, a od niedawna również baby wyrabiające masło albo dziergające na drutach – *sztrykujące*, jak sam je nazywa. Zanim jednak ze sznurka coś powstanie, potrzeba wielu godzin żmudnej pracy.

Czasochłonne jest przygotowanie samego sznurka. Skręcony trzeba rozczesać, namoczyć w wodzie, wyprostować, wysuszyć, a potem jeszcze raz wycesać. Dopiero takie proste, gładkie nici mogą posłużyć za materiał do pracy.

Z papieru, drutu i sznurka pan Tadeusz buduje kadłuby, zawsze zaczynając od nóg. Głowy robi osobno. Potem łączy elementy i oplata pojedynczymi nićmi. Na koniec zostaje precyzyjna robota: przyklejenie kapelusika, okularów, zrobienie oczek i ust. Dzięki drucianym szkieletom figurki można modelować. Kiedy dzieci były młodsze, chętnie towarzyszyły tacie przy tworzeniu szałowych chłopków. Dziś mają swoje zajęcia, ale pomagają przy przycinaniu, podobnie jak żona. Chodzi o to, żeby obciąć wszystkie niepotrzebne „włoski”, bo figurka musi być gładziutka. Dom zamienia się wtedy w wielki zakład fryzjerski.

Sam nie ma zbyt wielu swoich wyrobów. Nawet jeżeli coś zostanie, szybko trafia do innych rąk jako prezent. Jego wyroby sprzedają się w Zakopanem i w krakowskich Sukiennicach. Nie wie, czy szałowymi postaciami będzie zajmował się do końca życia, bo coraz trudniej konkurować z Chinami. Jedno jest pewne, postaci ze sznurka wykonane ręką pana Tadeusza zdobią tysiące domów, nadając im niepowtarzalny charakter.



Maciej Komandera

Miedźna

Jego muzyczna edukacja rozpoczęła się dopiero na wydziale aktorsko-wokalnym Akademii Muzycznej w Katowicach. Wprawdzie śpiewał od zawsze, ale dość długo trwało, zanim zdecydował, że ze śpiewu może uczynić swój zawód. Uczył się w pszczyńskim liceum na kierunku matematyczno-fizycznym. Brał udział w licealnych festiwalach, ale wtedy śpiewał bardziej rockowy repertuar. Jedna z koleżanek uparła się, że powinien go posłuchać profesjonalista. Tak trafił do Jana Ballarina, który przygotował go do egzaminów na studia. Niemal do ostatniej chwili miał możliwość wyboru pomiędzy studiami muzycznymi a elektroniką. Koleżanki jednak namawiały, żeby wybrał to, co lubi najbardziej – śpiewanie. Dziś nie żałuje swojej decyzji. Jest tenorem w Operze Śląskiej w Bytomiu. Robi to, co chciał robić i robi to dobrze.

Bycie śpiewakiem operowym to stresująca praca, szczególnie podczas spektaklu, kiedy trzeba dać z siebie wszystko. To nieustanne sprawdzanie się. Trema go nie opuszcza. Nawet kiedy okazjonalnie śpiewa w miejscowym kościele, denerwuje się, czy wszystko będzie tak, jak powinno. Najbardziej lubi śpiewać po rosyjsku, bo to bardzo melodyjny język. Jego ulubioną operą są „Pajace” Ruggiera Leoncavalla z arią dla tenora „Śmieć się pajacu”. Lubi też jazz tradycyjny, ale podczas jazdy autem najczęściej słucha swojej muzyki. Zanim dojedzie z Miedźnej do Bytomia, jeszcze zdąży się czegoś nauczyć, bo śpiewacy nigdy nie kończą swojej edukacji. Dyplom akademii nie oznacza, że już można sobie odpuścić. Własny słuch czasem nie wystarcza, dlatego potrzebny jest słuchacz z zewnątrz. Ktoś, kto poprawi, skoryguje błędy. Jego profesorem jest teraz Wiesław Ochman.

Opera jest pełna niespodzianek i nieprzewidzianych sytuacji. Wszak w każdym spektaklu bierze udział około stu osób! Pan Maciej pamięta takie zdarzenie: w głównej scenie „Carmen” musi zadać pięknej kobiecie cios nożem (oczywiście drewnianym, bo to spektakl), gdy nagle orientuje się, że noża nie ma! I wtedy wpada na pomysł – przecież może Carmen udusić! Arię udaje się zaśpiewać do końca i nikt, prócz reżysera, nie orientuje się, że coś poszło nie tak. Bo w operze najważniejsze jest, żeby śpiewać, śpiewać, śpiewać...

Feliks Konieczny

Łąka



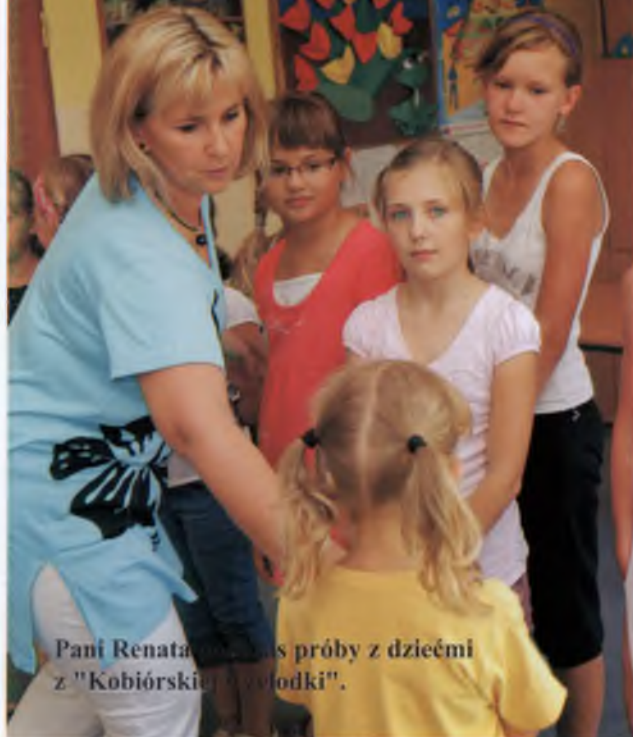
Po operacji pan Feliks musiał rzucić palenie. Trzeba było zająć czymś ręce, więc na targu, od „ruskich”, kupił małe dłutko no i się zaczęło... Dziś jego dom i obejście usiane są drewnianymi rzeźbami. Świeczniki, drewniane trepki, kostury zakończone oryginalną rzeźbą, św. Józef z dzieciątkiem, ptaszki, piesek i sosnowy diabełek – wszystko wykonane ręką gospodarza i natury, bo natura ma niebagatelny wpływ na powstanie rzeźby. Pan Feliks w swoich pracach inspirował się tym, co już jest. Patrzy na bukowy korzeń, narodziła się na drzewach, huby, kawałek wierzbowego korzenia z zapory i od razu widzi, co z nich można zrobić. Z uschniętej wiśni postać powstała od nosa. Czasami narodził się korzeń już tak uformowany, że wystarczy parę ruchów, aby wyłonić konkretny kształt.

Materiały do swoich prac zbiera podczas rowerowych i pieszych wycieczek, czasami pies coś ciekawego w zębach przyniesie. Wykopuje stare korzenie, potem stalowa szczotka i strumień wody pomagają wyczyścić drewno i można zacząć rzeźbić. W swojej kolekcji ma nawet pracę wykonaną w niedopalonym polanie. Wyciągnął szczapę z ogniska, bo widział, że coś z niej jeszcze będzie. Najczęściej pracuje popijając kawę. Siedzi i struga, a jak już struga, to nie może przerwać. Ręka sama idzie, aż skończy, dopiero potem może zająć się czymś innym.

Rzeźbami cieszy się jak dzieckiem. Zrobił karmik – w zimie zawitało do niego osiemnaście bażantów! W ogrodzie postawił postać wyrzeźbioną w pniu. To była stara jabłoń, z której wybrał próchno, żeby drzewo niegniło. Sikorki właśnie to miejsce wybrały sobie na gniazdo. Dorobił pokrywę, żeby kot nie mógł się dostać do środka. Jego prace są przykładem prostej sztuki ludowej. Zwyczajnie ociosane, niewyszlifowane, bez uszlachetniającego wosku, mimo to zdobywają uznanie. Weźmy takiego Chrystusa na Górze Rio – powędrował aż do wojewody! Gdyby rzeźbieniu pana Feliksa nadać jakąś nazwę, można by było powiedzieć, że rzeźbi z natury, bo natura sama daje nam odpowiednie kształty, tylko trzeba dobrze patrzeć. I pan Feliks patrzy, a z tego patrzenia powstaje wiele nowych, ciekawych rzeczy.

Renata Kordys

Kobiór



Pani Renata podczas próby z dziećmi z „Kobiórskiej Czelodki”.

Najtrudniejsze w pracy z dziećmi jest okiełznanie ich energii i niecierpliwości. Podczas występów musi panować prawie wojskowa dyscyplina: dzieci już wyrwają się na scenę, chcą śpiewać i tańczyć, a tu jeszcze trzeba stroje poprawić, włosy uczesać, założyć wianki i korale. Na szczęście pani Renata potrafi pracować z dziećmi. Gdyby tak nie było, nie kierowałaby z powodzeniem od dwunastu lat „Kobiórską Czelodką” – dziecięcym zespołem regionalnym, działającym przy Szkole Podstawowej w Kobiórze. Nie przypuszczała, że przygoda z dziećmi potrwa aż tak długo. Jednak wiedziała, że będzie z dziećmi przygotowywać taki repertuar, jaki sama chciałaby oglądać: tradycyjne przyspiewki śląskie

z Kobióra. Dzieci mogły je jeszcze usłyszeć od swoich babć. Pomysł okazał się trafiony. Pierwsze występy, pierwsze sukcesy, a przede wszystkim radość dzieci były motorem do dalszego działania. Na początku działalności istotną sprawą okazały się stroje, bo w zespołach regionalnych oryginalne stroje są tak samo ważne, jak poprawne wykonanie utworu. Na ratunek przyszły babcie, ciocie i mamy, które szyły bluzki i fartuchy. Pani Renata do tworzenia strojów zaangażowała nawet swoją teściową. Z czasem udało się zorganizować oryginalne śląskie ubrania, ale dzieci nie chciały występować w chustach i *jaklach*, dlatego przekazali stroje „Kobiórzanom” – dorosłemu zespołowi z ich miejscowości. Dziś „Kobiórsko Czelodka” liczy około trzydzieści osób. Co roku organizowany jest nabór w klasach pierwszych. Chętnych jest wielu, ale nie wszyscy zostają na dłużej w zespole. Dzieci szybko się nudzą, chcą od razu występować, a przecież najpierw czeka je ciężka praca: nauka tekstów i wiele godzin prób. Pani Renata przyznaje jednak, że występy są dla dzieci dużą gratyfikacją i radością. Członkowie zespołu mieli już okazję być na antenie Radia Katowice i w telewizji. W 2002 roku odwiedzili Sejm i zrobili na Wiejskiej prawdziwą furorę. Nagrali też teledysk, który można zobaczyć w telewizji Silesia. Spośród osiągnięć na pewno należy wymienić pierwszy występ na Śląskim Śpiewaniu i od razu pierwszy sukces – I miejsce w przeglądzie. „Kobiórsko Czelodka” nie tylko wykonuje śląskie przyspiewki, ale również przygotowuje programy świąteczne, jasełka, występy z okazji Dni Kobióra i dożynek. Nie wiadomo, skąd pani Renata czerpie energię potrzebną do pracy z dziećmi. Może z faktu, że jako dziecko sama należała do podobnego zespołu? Jej marzeniem jest nagranie z dziećmi płyty z kolędami po śląsku – bożonarodzeniowego prezentu dla wszystkich.

Wiesława Korzeniowska

Goczałkowice-Zdrój

Goczałkowiczanie mogą o niej powiedzieć „nasza pani profesor”, bo chociaż w jej życiorysie pojawiają się różne miejscowości, punktem wyjścia zawsze są Goczałkowice. Pochodzi z nauczycielskiej rodziny. Szacunek do przeszłości wyniosła z domu. Ojciec gromadził stare przedmioty i książki. Niektóre pochodziły nawet z siedemnastego wieku. Dziś ona rozszerza tę kolekcję, bo też lubi gromadzić wokół siebie przeszłość.

Ma tytuł profesora zwyczajnego, inaczej nazwanego tytułarnym, nadany jej przez Prezydenta RP w 2005 roku. Jest Honorowym Obywatelem Goczałkowic-Zdroju. W ubiegłym roku została rektorem Wyższej Szkoły Administracyjnej w Bielsku-Białej. W świecie nauki, w życiu społecznym i zawodowym osiągnęła najbardziej zaszczytne tytuły, ale droga do sukcesu nie była łatwa. Życie tak się komplikowało, że nawet studia musiała rozpocząć dwa razy. Ostatecznie skończyła historię na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach. Przez wiele lat była nauczycielką tego przedmiotu w jednej z pszczyńskich szkół. Dopiero po obronie doktoratu w 1987 roku dostała pracę w Instytucie Śląskim w Opolu. Żeby zdążyć na pierwszy pociąg, musiała wstawać o trzeciej nad ranem. W obszarze jej naukowych zainteresowań była historia Górnego Śląska, ze szczególnym uwzględnieniem dziejów śląskiej wsi.

Ciężka praca naukowa zaowocowała tytułem doktora habilitowanego przyznanym osiem lat później. W 1995 roku trafiła do filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie jako samodzielny pracownik naukowy. Tak zaczęła się druga naukowa przygoda pani profesor, związana z historią myśli pedagogicznej i historią wychowania. W swoim dorobku ma około trzysta publikacji i czterdzieści wydawnictw zwartych zarówno z dziedziny historii Górnego Śląska jak i historii wychowania. Redagowała i współtworzyła monografię historyczną Goczałkowic-Zdroju, angażuje się w prace dotyczące wydawnictw związanych z jej rodzinną miejscowością. Aktualnie razem z mieszkańcami pracuje nad „Goczałkowickim słownikiem biograficznym”. Biogramy piszą goczałkowiczanie, ona zajmuje się redakcją. Dotychczas zebrali informacje o ponad 130 osobach. W publikacji pojawią się nauczyciele, budowniczości zapory, posiadacze majątków i zwykli ludzie, tacy jak salowa z uzdrowiska, która w czasach PRL-u z własnego domu przynosiła ścierki i detergenty, żeby jak najlepiej wykonać swoją pracę. Mieszkańcy pamiętają ją również z wielkiej uczynności wobec innych. Taka goczałkowicka „perełka”, dla której znajdzie się miejsce w poważnym słowniku, bo pani profesor jest przekonana, że każde życie w jakimś wymiarze jest niebanalne i warto o nim mówić.



Alfred Kotas

Suszec

Śpiew zawsze był mu bliski. W 1947 roku śpiewał w goczałkowickim chórze kościelnym, w internacie na wspólnym śpiewaniu spotykał się z kolegami i koleżankami, nawet w wojsku przyśpiewywał. Jednak prawdziwa przygoda z muzyką rozpoczęła się, kiedy serce zmusiło go do zaprzestania pracy zawodowej. Nie chciał być tylko rencistą, chciał działać. Najpierw jednak zajął się suszeckim kołem emerytów, którym kierował przez 14 lat, aż do 2006



roku. Kiedy zaczynał – związek liczył 89 członków, kiedy kończył – 409 osób. Być może spotkania z emerytami zainspirowały go do założenia chóru? Ze względu na stan zdrowia nie mógł biegać za piłką, więc klub sportowy odpadał, ale śpiewać nikt mu przecież nie zabronił. A skoro on może, to dlaczego nie inni? Tak w 1995 roku powstał chór „Pogodna Jesień”, wykonujący głównie ludowe utwory ziemi pszczyńskiej. Śpiewaków pan Alfred werbował nawet w kościele, jak tylko usłyszał, że ktoś ma dobry głos. W ubiegłym roku średnia wieku chórzystów wynosiła 69,7 lat. Przez piętnaście lat działalności wiele osób zmarło, ale zastąpiły je nowe. Dziś „Pogodna Jesień” liczy 32 osoby, a w swoim repertuarze ma około 130 piosenek. Ich pierwszym instruktorem był Marian Cieśla. Współpracowali przez siedem lat. Na spotkanie pożegnalne pan Alfred zaprosił dwie akordeonistki. Potem zwerbował grającego na gitarze i perkusji Tadeusza Paszka. Do zespołu dołączyły głosy z „Pogodnej Jesieni” i tak powstała „Harmonia”, kolejny muzyczny projekt pana Alfreda. Tym razem w repertuarze były stare przeboje: „Czekolada”, „Puste koperty”, piosenki biesiadne. W 2003 roku na Dzień Kobiet dali prawdziwe show, rok później grali na Festiwalu Artystycznym Seniorów w Międzyzdrojach. Wczasowicze tańczyli i pytali: skąd jesteście? Pech chciał, że instrumentalistki odeszły z zespołu. Chwilę trwało, zanim pan Alfred znalazł zastępców. Dwóch emerytowanych policjantów grających na akordeonie i gitarze, wniosło do zespołu nową energię. Tak „Harmonia” przeobraziła się w „Suszczan”. Przez trzy lata jeździli na występy ciesząc się dużym uznaniem. Dziś zespół nie ma prób, ale oficjalnie nie został jeszcze rozwiązany. Muzycy dostali oferty pracy i wyjechali, ale mają wrócić i wznowić działalność. A jeżeli tak się nie stanie, to pan Alfred znajdzie pewnie kogoś innego, bo nikt tak jak on nie potrafi zmobilizować ludzi do wspólnego śpiewu.



Marek Król

Pielgrzymowice

Już od czterech pokoleń rodzina pana Marka hoduje ryby. Wszystko zaczęło się od karpia, ale dzisiaj w Pielgrzymowicach sprzedaje się także suma afrykańskiego. Hodowlą tego egzotycznego gatunku zainteresował pana Marka zaprzyjaźniony Zakład Gospodarki Rybackiej Gołysz Polskiej Akademii Nauk. Kiedy zaczynał, był w Polsce jednym z pionierów. Sum jest bardzo wymagającą rybą. Jak sama nazwa wskazuje, pochodzi z Afryki i przyzwyczajony jest do wysokich temperatur wody, najlepiej 24 do 27 stopni Celsjusza. Poniżej 20 stopni ryba ginie. Odpowiednia temperatura to pierwsze wyzwanie. Karpioniom w stawie nikt przecież wody nie podgrzewa, a tu dwadzieścia cztery godziny na dobę należy utrzymać odpowiednią ciepłotę. Każda przerwa w dostawie prądu grozi katastrofą. Trzeba mieć zabezpieczenia w postaci agregatów i non stop ktoś musi doglądać hodowli. Sumy afrykańskie to bardzo wrażliwe stworzenia, potrzebują ciepła, ciszy i ciemności. Mieszkają w specjalnych zbiornikach

w zamkniętym pomieszczeniu i najlepiej ich nie niepokoić poza porami karmienia. Reagują nawet na zbliżającą się burzę, przestając jeść. I jeszcze jedna ciekawostka – sum afrykański to jedyna ryba, którą można utopić! Ryby te oddychają tak jak my – płucami i żeby zaczerpnąć powietrza, wypływają na powierzchnię wody. A kulinarnie? Przewaga suma polega na tym, że poza kręgosłupem, praktycznie nie ma ości, łatwo z niego zrobić filety, no i mięso jest smaczne, podobne do węgorza. Szczególnym zainteresowaniem cieszy się sum wędzony. W Skoczowie na rybnym jarmarku w ciągu dwóch dni sprzedało się osiemset sztuk. Pan Marek właśnie modernizuje hodowlę z pomocą funduszy unijnych. To duży projekt: dwa i pół tysiąca metrów rur rozprowadzających ciepło, jeden zbiornik przeszklony i podświetlany, umożliwiający obserwację ryb, nowoczesny system oczyszczania wody. Dotąd w hodowli pomagał mu ojciec, ale od nowego roku planuje zatrudnić pracowników, bo pracy jest coraz więcej. Cieszy się, że zaryzykował i udało mu się zaistnieć na rynku hodowców tej afrykańskiej ryby.

Teresa Król

Suszec

Kocha tę robotę. Jest pedagogiem w szkole podstawowej w Kryrach. Prowadzi szkolną świetlicę. Organizuje zajęcia w kołach zainteresowań: plastyczno-dekoratorskim, gitarowym i krzewienia kultury śląskiej. Należy do Stowarzyszenia Odnowy Wsi w Suszcu, jest pomysłodawczynią i organizatorką Olimpiady Gwary Śląskiej w Suszcu. Ale to nie wszystko: zbiera i zapisuje legendy oraz opowieści, które niegdyś wieczorami opowiadało się w śląskich domach. W maju organizuje Dzień Niezapominajki, żeby przypomnieć o gwarze. Szyje, gotuje i piecze. Zbiera grzyby i antyki. Energiczna, uśmiechnięta i rozgadana pani Teresa zaraża swoim zapałem. W jej kole gitarowym uczy się grać dwadzieścia czworo dzieci, począwszy od drugiej klasy szkoły podstawowej! Kiedy organizuje wypad krajoznawczy z dziećmi ze świetlicy, gitary zabierają ze sobą. Mają też kredki i ołówki. Wspólnie malują i śpiewają. Dzieci bardzo to lubią i doceniają, że ktoś poświęca im swój czas. A najbardziej lubią, jak pani Teresa opowie im jakąś ciekawą historię: o koniu z trzema nogami, o złotym garncu albo utopcach. Wszystko po śląsku. Bo pani Teresa umie *bojać*. Umiała *bojać* jej matka i ciotka Krysia. Opowiadane przez starszych *bojki* z dreszczykiem i morałem mają dobry wpływ na rozwój dzieci, uczą pozytywnego spojrzenia na świat, wrażliwości. W pracy pedagoga najbardziej lubię odnajdywać w dzieciach zdolności i ukryte talenty. Nie jest ważne, że ktoś ma problemy z czytaniem czy tabliczką mnożenia. W każdym znajdzie coś wyjątkowego. Buduje w dzieciach poczucie własnej wartości.

Od 2005 roku organizuje Olimpiadę Gwary Śląskiej. Najpierw był tylko konkurs pisemny, ale pani Teresa nie lubi się powtarzać i formuła olimpiady ulegała zmianie. Po śląsku była już liryka, epika i dramat. Uczestnicy recytowali wiersze i pisali o *zogródce* swojej ciotki. Coraz większą popularnością cieszy się też część ustna. Z roku na rok na scenie przed suszeczką starszyzną (bo na jurorów wybiera tych najbardziej doświadczonych użytkowników gwary) występuje coraz więcej młodych osób. To cieszy. Konkurs jest otwarty, nie ogranicza się tylko do gminy. Wśród uczestników olimpiady zdarzają się prawdziwe talenty – jak Damian Wojnar – jej wychowanek, który w 2009 roku zdobył tytuł Młodzieżowego Ślązaka Roku. Nie tytuł jednak jest najważniejszy. Dzięki pani Teresie dzieci przekonują się, że gwara śląska to wartość.





Paweł Kukła

Piasek

Od kiedy pamięta, rodzice zabierali go na koncerty organowe. Jeździł z nimi do katowickiej katedry i słuchał, jak na kościelnych organach gra jego wujek Zygmunt Kukła. Pochodzi z bardzo muzycznej rodziny, nic więc dziwnego, że sam również zapragnął grać. Rodzice kupili pianino, a lekcji udzielali mu wujkowie Henryk i Zygmunt. W gimnazjum zaczął chodzić do studium organowego, bo organy piszczalkowe fascynowały go od dzieciństwa. Może technika gry jest podobna do fortepianu, ale dużo więcej

trzeba pracować nogami, więc bez specjalnego przygotowania i nauki, trudno byłoby zostać organistą. Od 2009 roku jest studentem edukacji artystycznej w zakresie sztuki muzycznej na specjalizacji jazz i muzyka rozrywkowa w cieszyńskiej filii Uniwersytetu Śląskiego. Klasykę gra dla przyjemności, a mieszankę jazzu, funku i hip-hopu – na scenie. Jest założycielem, pianistą i kompozytorem większości utworów zespołu PomaU – ubiegłorocznego zwycięzcy „Zubrowiska”. Nagranie zespołu pochodzące z płyty, którą nagrali własnym sumptem, pojawiło się w radiowej „Trójce”. Radość była wielka, bo Hirek Wrona, znany dziennikarz muzyczny, powiedział na antenie, że są obiecującym zespołem. Lubi pracować w grupie, ale lubi też zamknąć się w swoim pokoju i przy komputerze tworzyć muzyczne aranżacje. Fascynują go możliwości jakie dają muzyce nowe technologie. Aranżacyjne wprawki ćwiczy na „Pancerniku Potiomkinie” – radzieckim niemym filmie Siergieja Eisensteina z 1925 roku. W swoim dorobku ma również muzykę do przedstawień nieformalnej grupy teatralnej scena/teatr/rowerownia oraz Stowarzyszenia Artystycznego Plessart: „NIE MA ZŁEGO CO BY NA JESZCZE GORASZE NIE WYSZŁO” na podstawie dramatów Witkacego (2008) oraz „Londyn 1843” na podstawie powieści Dickens’a (2010). Na przyszły rok zaplanowana jest premiera spektaklu inspirowanego Kabaretem Starszych Panów. Paweł rozwija się w różnych kierunkach. Jest laureatem wielu przeglądów, np. Wrocławskiego Festiwalu Form Muzycznych i organizatorem koncertów muzyki różnej „Magno Motu” w rodzinnej parafii w Piaszku. Jest założycielem, pianistą i aranżerem zespołu Plessound znanego z nowatorskiej aranżacji kołęd. Wśród swoich muzycznych idoli jednym tchem wymienia jazzujących pianistów Leszka Możdżera i Esbjørna Svenssona, a z klasyków – Bacha i Chopina. Bo prawdziwa muzyka jest jedna.



Adam Kulisz

Kobiór / Tychy

Pochodzi z muzycznej i muzykującej rodziny. Chodził do szkoły muzycznej, uczył się grać na klawirze. Nie został jednak klawirzystą, ani hardrockowym wykonawcą, tak jak jego krewni. Kiedy do kin wszedł film „Blues Brothers”, ze znakomitą, bluesową ścieżką dźwiękową, dziesięć razy pod rząd chodził do kubińskiego kina na seans. To były specjalne pokazy dla fanów bluesa z Kubińska – dokładnie dla pięciu osób. Nie wie, czemu akurat wciągnął go blues, ale właśnie ta muzyka najbardziej mu w duszy gra. Do dwudziestego roku życia mieszkał i grał w Kubińsku. Bluesa odkrył, kiedy pojechał do Sopotu na Blues Top Festiwal. W Trójmieście grał na ulicach, a w 1986 roku pojawił się na głównej scenie Rawy Blues Festiwalu – największego i najbardziej prestiżowego bluesowego wydarzenia muzycznego w kraju i Europie. Gitarą, śpiewem i harmonijką usną wypracował sobie pozycję w bluesowym środowisku. Potem gdzieś się zagubił. Miał dziesięcioletnią przerwę

w graniu. Ale wrócił, odnalazł na nowo siebie i muzykę. W 2004 roku znowu pojawił się na Rawie i wydał kolejną płytę. Miał muzyczne marzenie - zagrać z Johnem Lee Hookerem, amerykańskim klasykiem tego gatunku, ale nie zdążył. Artysta zmarł. Udało mu się za to zagrać z jego synem. Chciałby jeszcze pojechać do Memphis – stolicy bluesa i to marzenie ma szansę się spełnić.

W swojej karierze grał z kilkunastoma różnymi kapelami, ma w dorobku siedem płyt. Jego najmłodsze dziecko to bluesowo-balladowa płyta „Ciemnogranie” z 2010 roku. W domu hoduje rybki, dwa szczurki i psa. W Bieszczadach prowadzi warsztaty dla młodzieży, uczy grać na gitarze. Często jest też w Kubińsku, u mamy i rodzeństwa. Dzień przed festiwalem „Ku przestrodze”, poświęconym pamięci lidera Dżemu Ryszarda Riedla, organizuje w Kubińsku „Sikora Blues Festival”, na który zaprasza zespoły z całej Polski.

Adam Kulisz będzie bluesmanem do końca życia. W tym zawodzie nie idzie się na emeryturę. Im jest się starszym, tym lepiej czuje się tę muzykę. Nikt nie wie, dlaczego tak jest. Może dlatego, że z wiekiem więcej się wie, więcej rozumie i łatwiej to przekazać słuchaczom? Bo w bluesie ważne są emocje, przekaz sytuujący się gdzieś ponad niezbyt skomplikowaną formą muzyczną. Swoboda muzycznego przekazu jest w bluesie najważniejsza, a on jest w tym coraz lepszy.

Alojzy Kuś

Suszec



Opisał historię swojej rodziny. Zrobił to przede wszystkim dla swoich dzieci i wnuków. Taki oryginalny prezent pod choinkę. Ponieważ nie używa komputera, wnuczka i synowa przepisały treść rękopisu. Rodzinna opowieść rozpoczyna się zdjęciem przedstawiającym jego i żonę jeszcze jako narzeczonych, a kończy ich Złotym Weselem. Swoje dzieło przekazał najstarszemu synowi, który dziś ma już 54 lata, i poprosił, aby kontynuował jego pracę. To ważne dla potomnych, żeby wiedzieli skąd się wywodzą, żeby znali swoje korzenie. Pan Alojzy opisuje nie tylko przeszłość rodziny. Swoją przygodę z książkami rozpoczął od kapliczek przydrożnych. Zebrał informacje o historii powstania 60 obiektów znajdujących się w samym tylko Suszczu. Żona, która jeszcze wtedy żyła, śmiała się z niego i mówiła, żeby dał spokój temu pisaniu. Ale nie dał. Powstała książka „Świadczenia wiary i pamięci. Suszeckie krzyże, kapliczki, grotty i pomniki” – dowód lokalnej religijności. W tym roku ukazała się kolejna publikacja jego autorstwa „Znani nieznani, bezimienni. Księga pamięci Suszczan” – rzecz o anonimowych mogiłach znajdujących się w suszeckich lasach i mieszkańcach poległych w czasie drugiej wojny

światowej. W książce znaleźli się żołnierze Wehrmachtu, polskiej armii, więźniowie obozu koncentracyjnego. Większość z nich zginęła na Wschodzie. Zależało mu na ocaleniu pamięci o czasach okupacji. Nie ma przecież kronik, ani dokumentów opisujących wojenną przeszłość Suszcu, a ludzie umierają. Był świadkiem drugiej wojny światowej i zdaje sobie sprawę, że lada moment znikną ostatni ludzie pamiętający tamte czasy.

Formułowania myśli na papierze nauczył się w pracy. Był urzędnikiem i często pisał protokoły. Jednak odbywało się to zupełnie inaczej, niż teraz. Nie było komputerów. Zdania układało się w głowie i od razu dyktowało stenotypistce. Pan Alojzy jest urodzonym społecznikiem. Przez dwadzieścia lat był sołtysiem. Pełnił też funkcję prezesa Powiatowego Stowarzyszenia Sołtysów. W Suszczu działa w Stowarzyszeniu Odnowy Wsi i jest jurorem tutejszej Olimpiady Gwary Śląskiej. Należy do chóru “Pogodna Jesień” i jest jednym z jego współzałożycieli. W przyszłym roku skończy osiemdziesiąt lat.

Anna Kuśka

Wisła Mała

Pochodzi ze świętokrzyskiej wsi. Po przeprowadzce na Śląsk, zaczęła zgłębiać wiedzę na temat tutejszego folkloru. Od młodości była zakochana w akordeonie, ale w liceum pedagogicznym obowiązkowa była gra na skrzypcach. Po wymarzony akordeon sięgnęła dopiero jako osoba dorosła, matka dwojga dzieci. Zaczęła grać, dzięki czemu radziła sobie z nauką śpiewu w młodszych klasach. Potem pracowała jako polonistka, prowadząc również kółko taneczne i drużynę zuchową w miejscowej szkole. Pani Anna była już na emeryturze, kiedy ówczesny sołtys, tuż przed dożynkami, poprosił ją, aby reaktywowała „Wiślanki”. Grupa śpiewacza wywodziła się z Koła Gospodyń Wiejskich, ale działała tylko przez cztery lata. W 1995 roku na potrzeby dożynek powstał „Wiślanie”, którym do dzisiaj kieruje pani Anna. W 1996 roku zespół zgłosił się na eliminacje do przeglądu „Wici”. Paniom tak spodobały się występy, że nie było mowy o tym, żeby przestać śpiewać. „Wiślanie” nagrali cztery audycje słowno-muzyczne dla Radia Katowice, z których trzy zostały wyemitowane na antenie. Dwa razy uczestniczyli w Festiwalu Kapel i Śpiewaków Ludowych w Kazimierzu. Na największych przeglądach w regionie zaczęli zdobywać główne nagrody. W ubiegłym roku nagrali płytę „Naszą rzyką Wisła... Pieśni dwóch brzegów”. Posiłkują się śpiewnikiem z połowy XIX wieku. Pani Anna zna nuty, więc przy pomocy akordeonu może przygotowywać nowe utwory i opracowywać repertuar. Bardzo jej w tym pomaga akordeonista Stanisław Hanusek. Ponad połowa członków zespołu to jej wychowankowie. Część zespołu pochodzi z ziemi cieszyńskiej. 56 lat temu w miejscu Zalewu Goczałkowickiego leżała duża wieś z dwiema szkołami i dwoma kościołami. To teren dawnego zaboru austriackiego, w którym życie kulturalne było dużo bardziej intensywne, niż w zaborze pruskim. Przy budowie zapory trzeba było ludzi przesiedlić, więc „Cesarczki” trafiły na pruską stronę. Dzięki temu „Wiślanie” kultywują dwie tradycje. W domu pani Anna nuci ludowe pieśni, bo muzyka współczesna już do niej nie przemawia. Piosenki ludowe są takie melodyjne i piękne. Zawierają też głęboką mądrość. Można znaleźć wśród nich również utwory frywolne, pieprzne, ale wszystkie są z życia wzięte, dlatego są prawdziwe.





Janina Lazar

Pielgrzymowice

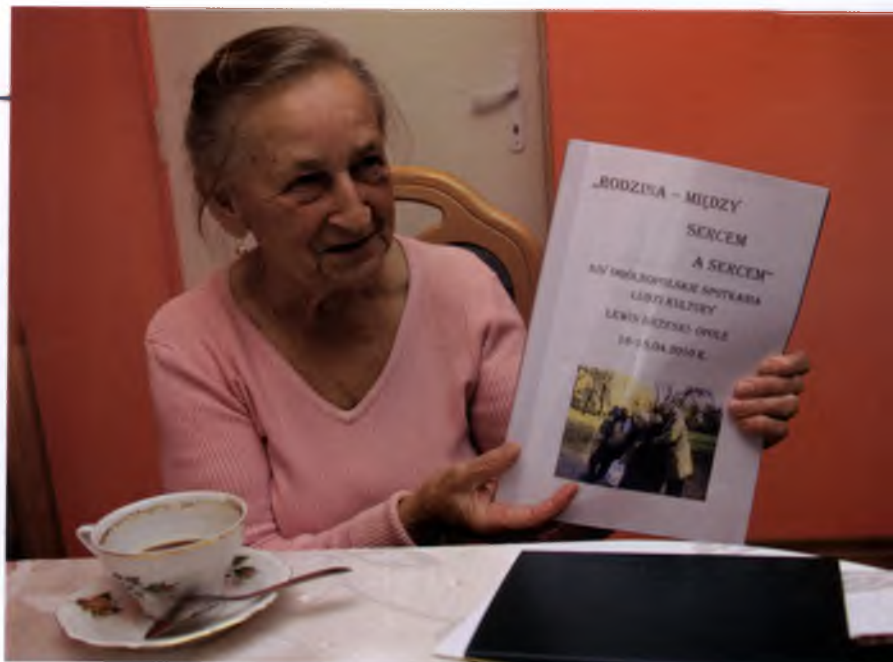
Musi zrobić każdy nowy kwiat, który zobaczy. Tak długo zastanawia się, jakich materiałów użyć, jak skrócić bibułę, że jak już siądzie do roboty, to zawsze się uda. Róże, chryzantemy i maki, a na Wielkanoc to nawet bazie ma własnej roboty – z patyczków do szaszłyków, waty i brązowej bibuły. Sztukę robienia kwiatów opanowała w dzieciństwie. Kwiaty z bibuły robiła jej matka i babka, bo dawniej plastikowych nie było. Jak zbliżało się Wszystkich Świętych groby przyozdabiano się papierowymi, moczonymi w wosku. Pani Janina pochodzi z Małopolski. Na Śląsku wyszła za mąż i już tutaj została. Prawdziwy popyt na swoje

rękodzieło obserwuje od około dziesięciu lat. Wcześniej wszyscy zachwycali się kolorowym plastikiem, bo tani i praktyczny. Bibułkowe kwiaty robiła zawsze, ale nie były w modzie. A dziś ludzie sami przychodzą i zamawiają całe bukiety. I jeszcze wybierają: ten chce róże, a tamten polne maki. Maki cieszą się ostatnio wielką popularnością, ale nie te z papieru, tylko z prawdziwej skóry! Skrawki czerwonej i zielonej skóry dostaje od kuśnierza aż z Zakopanego! Kwiaty wyglądają pięknie i są niezniszczalne, ale roboty jest z nimi więcej, bo skóra nie jest tak miękka jak bibuła. Robi też inne ozdoby z papieru, na przykład wielkanocne, kolorowe jajka, a w grudniu choinkowe szyszki. Rękodziela uczy na warsztatach organizowanych w szkołach. Bardzo cieszą ją zajęcia z dziećmi, jednak krótkie spotkanie nie wystarczy, żeby nauczyć się robić kwiaty. Potrzeba by kilka dni warsztatów, żeby każdemu wytłumaczyć, pokazać. Robienie kwiatów nie jest trudne, tylko trzeba chcieć. Jak się nie ma zamiłowania, to nic nie da się zrobić. Kwiaty może robić wszędzie, nawet na szpitalnym łóżku. Pierwsze białe różyczki zwinęła z chusteczek higienicznych, bo w szpitalnej sali niczego innego nie było. Jak personel odkrył talent pacjentki, każdy chciał zamówić dla siebie bukiet. Na wiosnę na trawnikach sieje bibułkowe stokrotki. Najpierw naszykuje sobie kawałek trawnikowej darni, a potem robi kwiatki – malusienki, z białymi płateczkami i żółciutkim środkiem. Białe w zielony trawnik, wyglądają jak żywe.

Helena Malcher

Góra

Rodzina to moje królestwo oświetlone piętnastoma lampami o bardzo silnej mocy/ zbudowane przez nieprzespane noce i pot płynący z czoła – tak rozpoczyna się jeden z kilkudziesięciu wierszy, jakie w swoim życiu ułożyła pani Helena. Ułożyła, a nie napisała, bo choć trudno w to uwierzyć, pani Helena nie zapisuje swoich utworów. Nie jest pisarką zasiadającą do stołu z kartką papieru i piórem. Znajduje słowa potrzebne do wyrażenia uczuć i emocji, jakich doświadczyła. Wiersze płyną prosto z jej serca. Układa je w głowie i przechowuje w pamięci. Zadziwiające, że po kilkudziesięciu latach potrafi odtworzyć nawet ten pierwszy, który powstał, kiedy jej najmłodsza, trzyletnia wówczas córeczka była



*ciężko chora. Leżała w gliwickim szpitalu, a pani Helena przynajmniej raz w tygodniu jeździła pociągiem, żeby dowiadywać się o jej zdrowie. W pociągu ułożyła wiersz – rodzaj modlitwy o zdrowie i siłę potrzebną do znoszenia przeciwności losu. Rodzina zawsze była dla niej najważniejsza. Urodziła piętnaścioro dzieci, troje zmarło, dwanaścioro udało jej się wychować. Dwadzieścia lat przepracowała w tuczarni. Wstawiała o trzeciej trzydziści nad ranem. Mąż miał 53 lata, gdy umarł. Została sama. Te piętnaście lamp z wiersza o rodzinie, to właśnie jej dzieci. Każde dziecko było dla niej podarunkiem, i piętnaste, i pierwsze. Dwóch synów, najstarszy i najmłodszy, zginęło w chorzowskiej hali. Kochali gołębie. Pojechali rano, obaj ponockach. Jeszcze zażyczyli sobie na obiad kotlety mielone i śląski szalot. Chciała im upiec pączki, ale jakoś nie mogła się zabrać do roboty, jakby przeczuwała tragedię. Z tej tragedii również narodził się wiersz, choć długo nie mogła się z nim zmierzyć. Tam zginęli przecież jej chłopcy. W końcu zaczęła wiersz najprostszymi słowami: *Nie umiem wyrazić rozpacz i bólu...**

Mieszka w domu należącym od pokoleń do jej rodziny. Tutaj mieszkali jej dziadkowie i rodzice, tutaj urodziła się ona i jej dzieci. Tutaj przyszły na świat jej wnuki. Jest bardzo związana ze swoją miejscowością. Koło Gospodyń Wiejskich w Górze przez wiele lat było jej drugim domem. Urodzinowe życzenia mówi wierszem. Wierszem powita księdza biskupa i zaśpiewa piosenkę o swojej miejscowości. Na jubileusz 145 – lecia kółek rolniczych w Wodzisławiu też pojechała z wierszem, bo one same do niej przychodzą, trzeba tylko dać im czas. Czasami ma wrażenie, że z jednego tylko wyrazu mogłaby zapisać cały zeszyt.



Bogusław Musiolik

Suszec

Już w szkole średniej ciągnęło go do występowania na scenie. Współtworzył kabaret, który z powodzeniem prezentował skecze na szkolnej scenie. Po maturze złożył nawet papiery do szkoły teatralnej, ale życie napisało inny scenariusz. Zakochał się, ożenił, wraz z przyjacielem założył firmę produkcyjno-handlową i zapomniał, że kiedyś chciał być aktorem. Na scenę wrócił w 1999 roku. Emerytowana dyrektorka suszeckiej szkoły i członkini tutejszego koła Związku Górnośląskiego, pani Anna Kine, zorganizowała we wsi teatr. Na dziesięciolecie Związku Amatorski Zespół Teatralny przygotował przedstawienie „Wesele na Górnym Śląsku” Stanisława Ligonia. Panu Bogusławowi zaproponowano rolę księdza. Próby trwały prawie cały rok, ale efekt przeszedł najśmielsze oczekiwania. Stało się pewne, że teatr w Suszcu musi działać dalej. Wystawiali sztuki Ligonia, występując nie tylko w rodzimej miejscowości. Pan Bogusław sam zaczął pisać przedstawienia – dalszą

historię ligoniowej rodziny Pogorzałków o nieco komediowym zabarwieniu. Z czasem przejął również pałeczkę reżysera. Postać księdza, która pojawia się w kolejnych przedstawieniach, jest jego rolą charakterystyczną. Adaptuje sztuki śląskich twórców, dopisuje role, uwspółcześnia akcję. Opisuje ludzkie słabości i przywary, czasem w wypowiedzi aktora przemyci zachowanie wójta albo powiedzonko proboszcza. Prezentuje słabe i mocne strony mieszkańców gminy. Sam wpada na pomysły dialogów, ale czerpie z najbliższego otoczenia. Inspiracją przedstawienia „Jak wesele to wesele” był ślub i wesele jego córki. Na scenie przypomniał dawne tradycje: zmówiny i wykupiny. Sztuka „Pogorzałkowie – reaktywacja” opiera się na motywie rodzinnego spotkania i odkrywania swoich korzeni. Do wspólnej zabawy aktorzy wciągnęli całą widownię, bo każdy okazywał się w końcu czyimś krewnym. Zespół stanowi dwadzieścia osób, są ze sobą bardzo zżyci. Raz w roku organizują wspólną wycieczkę, na którą zabierają również swoje rodziny. Na listopadowe „Dni Suszcy” (od 2010 roku „Suszeckie Dni Kultury”) zawsze przygotowują premierę. Na ich występ przychodzi po kilkaset osób! Przy takiej publiczności trudno sobie wyobrazić, że teatru mogłoby nie być. Pan Bogusław poza teatrem zajmuje się również prowadzeniem imprez. Nigdy nie ma tremy. Ewentualne pomyłki kwituje żartem, improwizuje. Potrafi śmiać się z samego siebie.

Renata Nowok

Ćwiklice

Młodziutki zespół z Ćwiklic rewelacją przeglądu – tak brzmiał podpis pod zdjęciem zamieszczonym w „Dzienniku Zachodnim” po pierwszym publicznym występie na eliminacjach do „Śląskiego Śpiewania” w 2004 roku w Suszcu. Renata Nowok do dzisiaj pamięta ten występ. Dzieciaki wyszły na scenę i zaśpiewały tak głośno, że w zapisach jurorów znalazła się adnotacja: śpiew na granicy krzyku. Mimo to zakwalifikowali się do kolejnego etapu i od razu zdobyli I miejsce w konkursie. Na główną nagrodę - Grand Prix i statuetkę Szczyglika - nie musieli długo czekać. W 2006 roku, jako laureaci, występowali w Domu Muzyki i Tańca w Zabrze. Było radio, telewizja i mnóstwo wrażeń. Prowadząca zespół pani Renata nie przypuszczała, że sprawy przyjmą taki obrót. Nauczycielka z podstawówki w Ćwiklicach miała tylko przygotować występ na potrzeby szkoły, ale szkoda było rezygnować z pracy z dziećmi, którym śpiewanie ludowych piosenek i regionalne tańce dawały tyle frajdy. Była i jest jedyną osobą zajmującą się zespołem.

Sama szyła stroje, zbierała po ludziach, wyprosiła od starszych mieszkańców. Dzieci Ignęły do niej i zespół się rozrastał. Gdy wyjeżdżali na występy, w głębi duszy miała nadzieję, że nie wszyscy przyjdą, bo jak ich wpakować do jednego autokaru? Lata mijały i zespół dziecięcy zamienił się w młodzieżowy, ale próby nadal organizują w miejscowej szkole podstawowej. Według pani Renaty muzyka ludowa to głównie tańce. Ludzie przecież kiedyś w ten sposób się bawili. Na weselach nie tańczyło się przypadkowych rzeczy, tylko konkretne układy, zabawy z popisami zręcznościowymi i śpiewem. Niedawno jej zespół zdobył międzynarodowy dwuletni certyfikat uprawniający do uczestnictwa we wszystkich festiwalach folklorystycznych na całym świecie. Pani Renata czuje, że otwiera się przed nimi nowy rozdział. Już teraz szuka funduszy na kwietniowy wyjazd do Tuluzy we Francji.

Jej zainteresowanie regionalizmem zaczęło się dość niewinnie. Na początku był autorski program „Jesteśmy częścią tej ziemi”, w ramach którego uczniowie zbierali starocie. Potem wystawa starych fotografii i książka jej autorstwa zawierająca kilkaset zdjęć z opisami, stanowiąca swoistą monografię Ćwiklic, wreszcie Zespół Regionalny Ćwiklice. Nawet gdyby chciała to wszystko zostawić, członkowie zespołu by jej nie pozwolili, bo dla ludzi, to co robi, jest ważne.



Zygmunt Orlik

Kryry



Nikt chyba nie napisał więcej słów na temat historii ziemi pszczyńskiej, niż pan Zygmunt. Gdy w latach 70., mimo pozyskania przychylności władz administracyjnych i partyjnych, zaangażowaniu Uniwersytetu Śląskiego i Śląskiego Instytutu Naukowego, nie udało się opracować i wydać „Dziejów ziemi pszczyńskiej”, postanowił działać w pojedynkę, nie podpierając się żadnymi instytucjami. Lata mijały, a on odgrzebywał przeszłość pszczyńskich wsi. W sumie w siedmiu tomach opublikował monografie aż dwudziestu czterech miejscowości! To swoiste kompendium wiedzy zarówno dla mieszkańców, jak i przyjezdnych, chcących poznać historię tych ziem. Prace pana Zygmunta są pierwszym źródłem informacji dla uczniów i studentów. Istnieje nawet obiegowe powiedzenie „szukaj u Orlika”,

co oznacza, że punktem odniesienia powinny być jego książki. W świat historii wprowadziła go mama. Była prostą kobietą. Skończyła tylko podstawówkę, ale była niezwykle czytana.

Pierwsze artykuły opublikował w 1954 roku. Tych dotyczących historii Śląska jest około pięćset. W latach 80. wydał książkę „Ziemia pszczyńska. Rok 1945”. Pracę komplikowały procedury wydawnicze, w dodatku cenzura znacznie okroiła tekst. Takie były czasy. Po upływie trzydziestu lat pierwotny maszynopis tego opracowania, z niezbędnymi poprawkami i uzupełnieniami, czeka u wydawcy na wznowienie. W ubiegłym roku ukazała się książka „Opowieści ziemi pszczyńskiej” To zbiór fascynujących opowiadań dotyczących różnych wątków naszej regionalnej historii.

W domowym archiwum pana Zygmunta jest jeszcze wiele niewykorzystanych fiszek z informacjami na temat dziejów regionu. Są wśród nich i takie, których treści nie zamierza publikować. Muszą jeszcze poczekać, ze względu na brak odpowiedniego dystansu historycznego.

W pracy chętnie korzysta ze zdobyczy współczesności. Serfuje w Internecie, pisze na komputerze. Ma też rezerwowego laptopa. Z dumą zauważa, że jest najstarszym mieszkańcem gminy, który używa sprzętu komputerowego. Jego ostatnią książką będą dzieje rodu Orlików, ale póki co nie może jej dokończyć, bo stale odkrywa dawne rodowe fakty. Teraźniejszość również dostarcza ważnych zdarzeń, których nie sposób pominąć w opracowaniu. A czas płynie...

Łucja Paszek

Brzeźce

Zawsze interesowały ją przedmioty artystyczne, dlatego w szkole podstawowej w Brzeźcach założyła zespół teatralny „Słoneczna Gromada”. Polonistka i nauczycielka biologii, po lekcjach zamieniała się w reżyserkę, scenarzystkę i choreografkę. Grupa młodych artystów tak bardzo polubiła prowadzone przez nią zajęcia, że nawet kiedy uczniowie rozpoczynali naukę w pobliskiej szkole w Studzionce, ciągle przychodzili na spotkania „Słonecznej Gromady”. Niektórzy wytrwali aż do matury! Bo pani Łucja Paszek potrafi przyciągać ludzi i zatrzymać ich przy sobie na dłużej. Nic więc dziwnego, że po odejściu na emeryturę podjęła się nowego wyzwania. Kiedy w 1994 roku organizowano dożynki, pani Łucja skrzyknęła panie, które chciały i potrafiły coś

zaśpiewać. I tak jednorazowy występ dożynkowy, okupiony przez wiele pań dużym stresem i treścią, stał się początkiem wielkiej przygody Zespołu Ludowego „Brzeźczanie”, która trwa już 16 lat! Zespół wykonuje pieśni ziemi pszczyńskiej, zasłyszane od mam, babek i ciotek. W repertuarze wspiera się także pszczyńskimi folklorystami. Większość utworów zamieścili na płycie „Nasze śpiewanie, nasze kochanie, ono zostanie młodością w nas”. Pani Łucja łączy w zespole różne funkcje: występuje, jest menadżerem, kierownikiem artystycznym i kronikarzem. W 2004 roku do zespołu dołączyli mężczyźni i od razu odnieśli sukces. Jeden z panów zdobył tytuł „Chłopa Roku” na przeglądzie w Raławicach. Stroje, w których występują, są oryginalnymi ubraniami noszonymi niegdyś przez tutejsze kobiety. Wiele z nich to ubrania ślubne i te są najpiękniejsze. Najstarsze egzemplarze liczą po 100 lat, ale ciągle zachowują swoją nieprzeciętną urodę i styl. Brzeźczanie stali się wizytówką wsi. Żadna uroczystość nie może się bez nich odbyć. A ponieważ pani Łucja równocześnie prowadziła zespół młodzieżowy – ten sam, który założyła wiele lat temu jako nauczycielka – wiejskie uroczystości mają prawdziwie integracyjny charakter. Najbliższe jej sercu są coroczne jasełka i spotkanie opłatkowe dla organizacji działających we wsi. Do jasełek pani Łucja angażuje młodych i starych. W ubiegłym roku rozpętała wiekowa wahała się od 5 do 75 lat! Ma jeszcze jedno marzenie – chciałaby wydać książkę. Byłaby to publikacja ze zdjęciami, które pokazywano na wystawie „Brzeźce XX wieku na fotografii”, zorganizowanej przez zespół z okazji 15-lecia jego istnienia.





Tadeusz Paszek

Suszec

W dzieciństwie robił stateczki z kory, ale w dorosłym życiu na zabawę z drewnem nie było zbyt wiele czasu. Dopiero na emeryturze, zamiast siedzieć przed telewizorem, schodził do piwnicy i zaczynał rzeźbić. Bo jego prace w większości powstają w piwnicy i światło dzienne oglądają dopiero wtedy, kiedy on sam zdecyduje, że dzieło jest już zakończone. A efekty są naprawdę zadziwiające. Rzeźby zachwycają nie tylko na miejscowych jarmarkach w Suszczu. Święty Juda Tadeusz – jego patron, święty Antonii, Chrystus frasośliwy, anioły – to jedna grupa prac.

Druga ma charakter bardziej użytkowy: rzeźbiona osłonka na doniczkę, ule i ławeczka dla wnuków w kształcie jamnika. Jakiś człowiek zabrał z jego placu postać w kapeluszu z piórką, bo potrzebował czegoś na prezent, a ta rzeźba wydawała mu się idealna. Dziad z torbą trafił do koleżanki córki, która uparła się, że chce go mieć. Na nic zdały się tłumaczenia, że rzeźba jeszcze nie jest dopracowana. W końcu jednak dała się przekonać i obiecała, że poczeka. Z rzeźbienia pana Tadeusza frajdę mają też dzieci. Przychodzą, rozglądają się po domu i pytają: tata, mogę to wziąć? A on rozdaje i tak wykonanych przez niego rzeczy ubywa.

Jest samoukiem. Nikt nie uczył go rzeźbić. Jakoś samo tak wyszło. Zresztą pan Tadeusz ma również inne talenty. Maluje obrazy, a na butelkach zamoczonych w farbie wydrapuje śnieżynki, renifery, choinki. Tak powstają oryginalne dekoracje świąteczne. W jego życiu równie ważna jest muzyka. Od dziecka grał na akordeonie, potem zainteresował się gitarą i keyboardem. Śpiewa w „Pogodnej Jesieni”, w „Harmonii” grał na perkusji. Z sentymentem wspomina zespół „Odeon”, w którym występował jako młody chłopak. Grali między 18.00 a 22.00, za kotarą siedział milicjant i pilnował, żeby o czasie skończyć imprezę i zwinąć sprzęt.

Jest człowiekiem niezwykle aktywnym. W Suszczu pełni również funkcję sołtysa. W ubiegłym roku zdobył tytuł Sołtysa Roku. Wyjazd do Warszawy i odbieranie w Senacie nagrody to nie byle co, tym bardziej, że był pierwszym Ślązakiem, który zdobył ten laur. W pracy sołtysa najwięcej satysfakcji przysporzyła mu budowa plenerowego miejsca spotkań dla mieszkańców Podlesia. Mieszkańcy sami uporządkowali teren, postawili zadaszoną wiatę. Praca społeczna zintegrowała ludzi, a przecież wspólne działanie i wspólna zabawa cieszą najbardziej.



Edward Pelka

Suszec / Gorzyce

Nie miał własnej pracowni, ale to nie przeszkadzało mu tworzyć. Pozowała mu przyroda: lasy, wiejskie krajobrazy, dorodny kasztanowiec przy drodze, a jeżeli ludzie – to ci z najbliższego otoczenia, których uwiecznił na tysiącach portretów. Urodził się 14 lipca, osiemdziesiąt trzy lata temu. Dokładnie w rocznicę zburzenia Bastylli. Również w życiu pana Edwarda wolność ma szczególne znaczenie. Trudno go zaszufładować, bo kimże właściwie jest Edward Pelka? Człowiekiem z lasu? Malarzem? Przygrywającym na organkach włóczęgą? A może niedoszłym zegarmistrzem, bo na zegarkach zna się jak mało kto.

W Suszcu pojawił się po wojnie i już został. Na jakiś czas wyjechał wprawdzie do Krakowa, ale wrócił. Jakby suszeckie lasy były dla niego ważniejsze, niż malowanie wielowiekowego dziedzictwa polskiej historii. Dorobek życia pana Edwarda to setki obrazów, które do dzisiaj znajdują się w domach mieszkańców

Suszca i okolicznych miejscowości. To zatrzymane na płótnie znajome pejzaże, to ludzie, którzy przez lata tworzyli tutejszą społeczność. To kawałek historii utrwalonej ręką artysty malarza. Zapytany o receptę na malowanie odpowiada, że wszystkiego można się nauczyć, tylko nie talentu. Ale żeby malować, sam talent nie wystarczy. Biegłość w sztuce osiąga się po wielu próbach. Patrzysz – próbujesz, patrzysz – próbujesz, aż w końcu się uda. Najważniejsze, żeby wiedzieć, co chce się namalować. Pan Edward nadal tworzy. Aż trudno uwierzyć, że za okularami ciągle kryje się bystre oko, a pomarszczona dłoń pewnie prowadzi ołówek. Rysuje tych, z którymi przebywa: pielęgniarki, lekarzy, kucharkę z Domu Pomocy Społecznej w Gorzycach, gdzie zamieszkał kilka lat temu. Wykonał też portret papieża Jana Pawła II, który powędrował do Krakowa, do samego arcybiskupa Stanisława Dziwisza. Obraz jest wypalany w drewnie, to taka techniczna nowinka, z której skorzystał artysta. Dziś już nie marzy, bo jak ma się 83 lata to wystarczają wspomnienia. Kim mógłby być, gdyby urodził się nie na początku, ale pod koniec XX wieku?

Czy swoją niepokorną duszę zawdzięcza symbolicznej dacie urodzin, cechom osobowości czy może wojennemu doświadczeniu? Jego postać rodzi więcej pytań, niż odpowiedzi. Rzadko mówi o tym, co przeżył, zanim pojawił się w Suszcu. Niewielu zna jego tragiczną historię, ale to nie ma znaczenia. Liczy się to, że ocalał. Bo w życiu pana Edwarda najważniejsze jest ... życie.



Anastazja Pekała

Wola

Nici, które pani Anastazja zużyła do zrobienia serwetek, obrusów, firanek, haftów na pościeli, bluzkach i fartuchach wystarczyłoby na opasanie kuli ziemskiej. Może nawet ze dwa razy? Pani Anastazja haftuje od ponad siedemdziesięciu lat. Potrafi też szydełkować i robić na drutach, ale – najbardziej lubi haftować i właśnie z igłą i tamborkiem spędza najwięcej czasu. Zaczęła w wieku ośmiu lat. Nikt jej nie kazał, ani nie zmuszał, po prostu coś ją w tym pociągało. Wprawdzie mama nie haftowała, ale miała Anastazja mogła podglądać ciotkę. A jaka była radość, kiedy ciotka pozwoliła coś wykonać własnoręcznie, np. obrobić dziurki! Zaczynała od prostych rzeczy. Chusteczkę na szydełku obrobiła, żeby była ładniejsza, bardziej ozdobna. Zwykła biała pościel też wyglądała inaczej z delikatnym haftem richelieu. Kiedy na świecie pojawiły się dzieci (dwie dziewczynki i dwóch chłopców), pani Anastazja była w swoim żywiole. Haftowała wszystko: pieluszki, rękawki niemowlęcych batystowych koszulek, a potem

sukienki i bluzki dla córek. Cieszyła się, że dzieci mają takie ładne ubranka. Nawet zajmując się domem i rodziną znajdowała czas na swoje ulubione i przyteczne zajęcia. Do pracy w Czechowicach-Dziedzicach jeździła pociągiem. Koronki i hafty robiła podczas podróży. Wyroby jej autorstwa są rozsiane po różnych krajach: bieżniki pojechały do Niemiec, Anglii, Irlandii. Haftowane gorsety trafiły do Krakowa. Dla miejscowego Koła Gospodyń Wiejskich haftowała chustki, czepce, fartuchy. Zrobiła też cztery gorsety, haftem ozdabiała bluzki dla zespołów regionalnych. Za swoją pracę kilka lat temu została odznaczona medalem Order Serca Matkom Wsi. Początkowo nie chciała odbierać wyróżnienia. Po co mi to? – myślała. Teraz jednak cieszy się, że je ma. Pani Anastazja regularnie jeździ na wystawy. Szczególnie upodobała sobie „Spotkania pod Brzymem”. Radość sprawia jej patrzenie, jak za każdym machnięciem szydełkiem czy igłą robótki przybywa. Kiedyś dziergała bardzo szybko, bo ręce miała zwinne i młode. Dziś nadal haftuje, ale robi to wolniej i w okularach, jak przystało na babcię. Koronki i hafty wykonane przez panią Anastazję ciągle cieszą oczy, bo jak jest upodobanie do jakiejś roboty, to nie ma siły – ona zawsze wychodzi.

Mieczysław Pieprzyk

Goczałkowice-Zdrój

Zaczął się dość niewinnie: od lamp, zegarów i mebli. Pan Mieczysław lubi stare przedmioty. Nie przeszkadza mu, że są mocno zużyte i w zasadzie mogłyby powędrować na śmietnik. W jego domu nawet drzwi mają swoją historię. Lubi przywracać starocie do życia. Jesienią 1992 roku, kiedy był już na emeryturze, znalazł ogłoszenie o sprzedaży Skody Popular. Drewniane auto z 1936 roku kosztowało, bagatela, pięć i pół miliona starych złotych, co stanowiło mniej więcej równowartość jego ówczesnego miesięcznego dochodu. Nie namyślając się wiele, pojechał. Garaż stał pusty, bo volkswagen, kupiony wcześniej na giełdzie, okazał się kradziony i został zarekwirowany. Zbliżała się jesień i trzeba było czymś zająć ręce. Wybór padł na czeski samochód. Auto było czeskie, ale oprzyrządowanie szwajcarskie. I choć w wyposażeniu sporo brakowało, to auto,

w ocenie pana Mieczysława, zasługiwało na uwagę. Potrzebowało tylko sprawnych rąk nowego nabywcy. Wiosną 1993 roku skoda wyjechała z garażu! Później dowiedział się o rajdzie starych pojazdów w Krakowie. Pojechał. Dopiero tam zobaczył, co to znaczy Klub Pojazdów Zabytkowych. Został jego członkiem i tak zaczęła się przygoda z autami, które wprawdzie nie mają klimatyzacji i centralnego zamka, ale mają duszę. Drugim autem była Warszawa 223 K, kombi-taxi z 1971 roku. W zasadzie chciał ją kupić kolega, ale, jak zobaczył stojącego przy szopie starego grata, zrezygnował. Tak Warszawa trafiła do pana Mieczysława, który ją wyremontował, potem zrobił prawo jazdy na lawetę i od tej pory na spotkania automobilistów jeździł z dwoma autami. Warszawa ciągnęła lawetę z turkusową Skodą Popular. Najnowszym nabytkiem jest garbus z 1963 roku z oryginalną tapicerką. Czerwony volkswagen stał się autem użytkowym. Jak trzeba, to i 110 leci bez problemu. Gdyby pan Mieczysław mógł wydać gotówkę na jeszcze jeden samochód, byłby to mercedes z 1973 roku. Póki co, kupił przedwojenny silnik do wycieraczek, żeby zamontować go w skodzie. Panu Mieczysławowi nie zdarzyło się jeszcze, żeby któryś z jego pojazdów zawiódł. Stare auta potrafią się przecież odwdziżyć za poświęcony czas i serce.



Janina Rabaszowska-Grzyb

Goczałkowice-Zdrój



Anioły stoją na parapetach, półkach i szafkach. Duże i małe, grube i chude. Każdy inny. To z pewnością najbardziej rozanielony dom w okolicy, a może nawet całym powiecie. Bo gliniane anioły to motyw przewodni twórczości pani Janiny – artystki, plastyczki, nauczycielki w gimnazjum i liceum nr 3 w Pszczynie. Studia skończyła na specjalizacji malarskiej, ale podpatrywała zajęcia z ceramiki. Po kursie ceramicznym sama zaczęła lepić. Z czasem ceramika stała się głównym sposobem artystycznej ekspresji. Anioły – figurki, anioły – świeczniki, patery na owoce, płaskorzeźby i medaliony. Ceramika daje tak wiele możliwości! Jest też jeden diabeł. Nie wydaje się, by cierpiał od nadmiaru anielskich skrzydeł. Pani Janina do swoich wyrobów ma stosunek osobisty. Do dzisiaj ma w domu pierwszego własnoręcznie zrobionego anioła. Ulubione figurki nie są na sprzedaż, choć w domu głównie zostają te wybrakowane, z ubitym skrzydełkiem, odłupaną sukienką. Często słyszy, że jej anioły, choć gliniane, emanują dobrą energią. To ją cieszy, bo w zrobienie anioła wkłada wiele emocji i zaangażowania. Zainwestowała we własny piec, bo lubi mieć wpływ na cały proces powstawania dzieła. Wcześniej musiała wozić swoje wyroby do Bielska-Białej. Większość prac jest szkliwiona. Na wypalone wyroby nakłada płynne szkło, które pod wpływem temperatury ponad tysiąca stopni Celsjusza zastyga, tworząc gładkie, błyszczące powłoki. Do rozwałkowania gliny przydaje się wałek do ciasta, dlatego, przynajmniej na razie, pracownia ceramiczna znajduje się w przestronnej kuchni. Swoją fascynacją ceramiką zaraża również uczniów. Na zajęciach w szkole uczy lepić z gliny. Potem przynosi prace do domu,

do wypalenia i z powrotem zanoszą uczniom. Lubi pracę z młodzieżą, bo jest odkrywczą i inspirującą. Od lat współpracuje z „Małym Brzymem” – dziecięcym przeglądem zespołów regionalnych, przygotowując co roku pamiątkowe medaliony. W ubiegłym roku wykonała statuetkę na Tyskie Spotkania Teatralne. Robi też plakietki i pamiątkowe tabliczki. Aby odetchnąć od ceramiki, maluje pszczyńskie pejzaże. Chciałaby stworzyć cykl płaskorzeźb z najbardziej znanymi miejscami Pszczyny, ale ciągle brakuje jej czasu. Praca, dom, rodzina i anioły wypełniają całe dnie. Ach, gdyby tak doba trwała o dwadzieścia cztery godziny dłużej...

Bożena Rokita

Goczałkowice-Zdrój

Za oknem jeszcze zielona trawa i ciepłe słońce, a w domu u pani Bożeny przygotowania do świąt Bożego Narodzenia idą pełną parą. W pokoju na stole rozsiadły się anioły. Niektóre jeszcze nie mają skrzydełek albo czekają na przyszycie głowy, ale część jest już gotowa, z koronkowymi skrzydłami i białą gwiazdką na sukience, zapakowana w celofan. Pani Bożena robótki ręczne lubiła od dziecka. Należy do pokolenia, które szycia i robienia na drutach uczyło się w szkole. Kiedy córka była mała, nie miała czasu, żeby zająć się czymś tak bez potrzeby, dla przyjemności. Szyła, dziergała, bo trzeba było dziecko w coś ubrać, a w sklepach pustki. Dopiero po latach, kiedy córka dorosła, mogła odkryć w sobie prawdziwy rękodzielniczy talent i pasję. Ozdoby świąteczne to stały punkt programu w kalendarzu pani Bożeny. W ubiegłym roku jej aniołki całe były z koronki, w tym - koronkowe są tylko skrzydełka i ozdoba na sukience, a sam aniołek, wypchany skrawkami gąbki, jest mięciutki jak poduszka. Lubi próbować nowych rzeczy. Ostatnio bawi się tak zwanym haftem matematycznym. Sztywny kartonik trzeba podziurkować według schematu, a potem przeplatać nitkę, aż uzyska się regularny wzór. Próbuje też swoich sił w wyrobach z papieru. Specjalnie składane białe karteczki tworzą rodzaj plecionki, która



pomalowana farbą przypomina wiklinę. Swoje prace rozdaje rodzinie, przyjaciółom i znajomym. Czasami pojawia się na miejscowych dożynkach albo jarmarkach. Jej prace są również wystawiane w Galerii Obrazów i Wystroju Wnętrz w Goczałkowicach - Zdroju. Teraz, kiedy córka jest już na swoim, a ona została w domu sama, szydełkuje codziennie. Bo co robić po pracy? Nie chce siedzieć i patrzeć w sufit. A przecież szydełkowanie lubi najbardziej. Jej choinka, ubrana w koronkowe bombki, wygląda jak oprószone delikatnymi śnieżynkami. I z pewnością jest to najpiękniejsze drzewko w całej okolicy.





Teresa i Hieronim Staszakowie

Kobiór



Pani Teresa, emerytowana polonistka, kobiórką przeszłością interesowała się od zawsze. W szkole prowadziła zajęcia z edukacji regionalnej i utworzyła izbę regionalną. Wiele z eksponatów wyszperali sami uczniowie, myszując na strychach i w piwnicach swoich babć i dziadków. Od 2001 roku razem z mężem Hieronimem są członkami Koła Związku Górnośląskiego w Kobiórze, które na swoją siedzibę obrało dziewiętnastowieczny budynek zwany smolarnią. Jeszcze na początku XX wieku mieszkali tu smolarze. Członkowie koła zdecydowali się ocalić od zapomnienia budynek, a przy okazji historyczne pamiątki kobiórkzan, które tutaj znalazły schronienie. Kiedy w 2003 roku uroczystie otwarto Muzeum Regionalne „Smolarnia”, państwo Staszakowie zaopiekowali się zbiorami i stali się muzealnymi kustoszami. Nie tylko dbają o eksponaty, ale również oprowadzają wycieczki, wspólnie z innymi członkami koła organizują w muzeum lekcje regionalizmu i spotkania kulturalne. Do „Smolarni” trafiło również około sto eksponatów ze szkolnej izby regionalnej, którą niegdyś powołała do życia pani Teresa. To najbardziej odpowiednie miejsce dla tego typu przedmiotów. Maszyny szewskie i żarna, fisharmonia i cytra, stroje ludowe oraz gabloty z książkami, numizmatami i czasopismami.

Wśród najcenniejszych okazów znajdują się między innymi trzy ocalone egzemplarze „Górnośląskiej Gazety Ludowej” z 1891 roku z ośmiostronicowym dodatkiem „Gość Niedzielny”. Pewnie z racji zawodowych są one szczególnie interesujące dla pani Teresy. O czym też oni niegdyś pisali? Okazuje się, że już pod koniec XIX wieku prasa była pełna ogłoszeń. A to ktoś do sprzedania ma dwadzieścia cztery zdrowe pnie topolowe, ktoś inny poszukuje gospodyni obeznanej z kuchnią i rolnictwem, gdzieś szukają trzeźwego skotarza (pasterza bydła). Pani Teresa jest przekonana, że nie o skłonność do alkoholu w tym wypadku chodzi, a raczej trzeźwe myślenie. Pan Hieronim zwraca uwagę na fakt, że gazeta pisana jest po polsku, choć w tamtym czasie językiem urzędowym był niemiecki. Jest też w „Smolarni” wianek ślubny z 1906 roku – pamiątka po właścicielach domu. Na zaschniętym, poszarzałym mircie bielą się jeszcze zrobione z płótna drobne kwiatuszki z żółtymi pręcikami. Dziewiętnastowieczna aura „Smolarni” sprawia, że czas na chwilę przystaje, a wraz z nim i my.

Rodzina Szenderów

Suszec

W rodzinie państwa Szenderów historia i tradycja, zainteresowania i praca łączą się w zadziwiająco spójną całość. Nie sposób pisać o członkach rodziny z osobna, bo każdy z nich - pan Fryderyk, jego żona Maria, ich syn Waldemar z żoną Katarzyną, a nawet dwóch dorastających synów – ma swój wkład w powstanie miejsca, jakiego próżno szukać na mapie Polski. Urokliwy zakątek pod lasem zawdzięczają swoim przodkom. To ojcowizna pani Marii.

Jej dziadkowie byli leśnikami i rolnikami, ale historia siedliska sięga połowy piętnastego wieku, kiedy to osiedlił się tutaj niejaki Kamałoj. Był Karaimem – wyznawcą religii, której korzenie sięgają judaizmu. Po dziś dzień w Suszcu funkcjonują nazwy Kamojowe Górki czy Kamojowy Potok, pochodzące od nazwiska karaimskiego osadnika. Pan Fryderyk pochodzi z Katowic i choć rodzina żartuje, że miastowy, on nie wyobraża sobie życia gdzie indziej. Zbiera nieużywane już dzisiaj przedmioty codziennego użytku, dawne maszyny i urządzenia pochodzące z ziemi pszczyńskiej i rybnickiej. Kolekcji może mu pozazdrościć niejedno muzeum etnograficzne. W sumie zgromadził około dwa i pół tysiąca eksponatów. Wszystkie są opisane i skatalogowane. Jednym z najstarszych jest drewniany krzyż z liczącą ponad 350 lat postacią Przenajświętszego wykonaną z solnego ciasta chlebowego. W stanie wojennym rodzina zbudowała specjalne pomieszczenie do przechowywania zbiorów, a kilka lat temu powstał kolejny obiekt, w którym odtwarzają dawne warsztaty rzemieślnicze. Kuźnia istnieje w osobnym budynku. Jest nawet prawdziwy kowal, który zabytkowymi narzędziami wykonuje kute elementy. Prywatne Muzeum Etnograficzne „Kamojówka” nieustannie się rozwija. Pan Waldemar z żoną Katarzyną pozyskują fundusze potrzebne między innymi do upowszechniania wiedzy o dawnym rzemiośle. W 2007 roku Szenderowie powołali do życia Fundację Kamojową, dzięki której mogą realizować ciekawe projekty. W tym roku nieopodal ich domu stanęła ośmiokątna stodoła. Ostatnie tego typu obiekty, typowe dla ziemi pszczyńskiej, budowano w XIX wieku. Swoją wzorowali na nieistniejącym już obiekcie z Kryr. W ramach projektu oprócz rekonstrukcji stodoły zorganizowano warsztaty kowalskie, ciesielskie i dekarские, a także międzynarodową konferencję. Nietypowe spotkania z tradycją dają rodzinie Szenderów i ich gościom wiele radości. Bo czy może być coś przyjemniejszego od ubrudzenia gliną nóg podczas deptania gumna w stodole zbudowanej bez jednego gwoźdźca?



Fryderyk, Maria, Franciszek, Katarzyna, Waldemar i Fryderyk Szenderowie. W tyle Mirosław Duży - członek Fundacji Kamojowej i przyjaciel rodziny.



Krzysztof Śmieja

Łąka

Jeżeli ktoś chciałby przenieść się w szalone lata dwudzieste, czas kabaretów, muzyki i tańca, koniecznie musi odwiedzić pana Krzysztofa, który wskrzesza przeszłość przy pomocy nakręcanego korbką patefonu i starych płyt. Zawsze pasjonowały go przedmioty z historii. W młodości interesowały go przede wszystkim militaria, ale to naprawdę drogie hobby i trudno zdobyć eksponaty. Zaczął więc kolekcjonować wszystko inne: stare meble, maszyny rolnicze, kufle, zegarki, butelki, maszyny do pisania. Ma nawet zabytkowe pianino i oleodruk z 1908 roku. Wiele przedmiotów ludzie sami mu przynieśli, bo nie wiedzieli, co z nimi zrobić. Wyprowadzali się do bloków, w małych mieszkaniach nie było miejsca na rodzinne pamiątki. O swojej pasji mówi, że to już stan chorobowy. Starocie są wszędzie, choć żona pilnuje, żeby nie robił z domu rupieciami. Ma specjalne pomieszczenie, w którym trzyma przedmioty z kolekcji. Część przekaze powstającej właśnie w Łące izbie regionalnej.

Największym sentymentem darzy stary sprzęt grający: patefony, gramofony, radioodbiorniki. Ratował je przed zniszczeniem i wspólnie z kolegą elektronikiem przywracał do życia. W swojej kolekcji ma ich około osiemdziesiąt i, co ważne, większość z nich jest ciągle sprawna i gotowa do użycia. Patefony byłyby jednak niczym, gdyby nie płyty, które również znajdują się w zbiorach pana Krzysztofa. Około trzysta starych, czarnych płyt i dodatkowo pół tysiąca płyt analogowych. Jest czego słuchać. Starocie fascynują go ze względu na estetykę i precyzyjny sposób wykonania. Dziś powiedzielibyśmy, że odpowiada mu dawny design. W swoim domu ma specjalny pokój, w którym przechowuje najcenniejsze pamiątki. Marzy mu się, że kiedyś cały dom urządzi w stylu lat dwudziestych. Na razie, kiedy chce poczuć klimat tamtych lat, wyjmuje z walizeczki do przechowywania płyt czarny krążek, dajmy na to z Janem Kiepurą, nakręca korbkę i słucha, słucha, słucha... Szkoda, że tak trudno oddać słowami niepowtarzalny urok dźwięku ze starej, trzeszczącej płyty.



Otylia Trojanowska

Studzionka

Zawsze z prawdziwym zainteresowaniem słucha śląskiej *godki*. Cieszy się, że dziś Ślązacy nie muszą już wstydzić się śląskiej mowy. Ona sama z dzieciństwa pamięta, że w miejscach publicznych zabraniano mówić gwara. Nauczycielki zwracały uwagę, żeby dzieci mówiły po polsku, a nie śląsku. Tym większą radość sprawił jej konkurs „Po naszymu, czyli po śląsku”, który na stałe zagościł na antenie katowickiego radia i telewizji. Do udziału w konkursie zachęciła ją przewodnicząca Koła Gospodyń Wiejskich, mówiąc, że widzi ją na scenie w Domu Muzyki i Tańca w Zabrze. Pani Otylia sama ułożyła pierwszy tekst i zgłosiła swój udział w konkursie. Mówiła o odpuszczeniu w Studzionce i od razu zakwalifikowała się do półfinału. W kolejnym roku opowiadała o dzieciństwie, potem o rodzinnej wsi, a w końcu o swoim małżeńskim życiu – o życiu Ślązaczki i Górala. O tym jak się poznali i jak w pierwszej chwili on nie przypadł jej do gustu, a potem ujął ją swoją wytrwałością, bo codziennie czekał na nią na przystanku i podwoził do domu na motorze, a motor miał piękny. Opowiadała jak zdecydowali się na ślub, choć w tamtych czasach wzięcie za męża „obcego” było nie lada wyzwaniem, szeroko komentowanym wśród sąsiadów i rodziny. No bo jak to tak? Czy porządnych śląskich synków jest za mało? Monolog był bardzo osobisty. Napisała go pani Otylia i samo życie. Wygrała! Jurorzy zdecydowali, że tytuł Ślązaczki Roku 2009 należy się właśnie jej. Największą niespodziankę przeżył mąż, który, siedząc na widowni, nie wiedział, o czym, a raczej o kim żona będzie mówić.

Po wygranej szum medialny wokół jej osoby zrobił się tak duży, że czasami była naprawdę zmęczona, ale starała się nikomu nie odmawiać. Była zaskoczona wygraną, bo do konkursu przygotowywała się na ostatni moment. Monologu nawet nie zapisała na kartce, tylko miała go w głowie. Córkę wysłała zgłoszenie w formie SMS-u.

Cieszą ją spotkania z ludźmi, zaproszenia do szkół i bibliotek, rozmowy z dziećmi i dorosłymi. Nie czuje się gwiazdą, bo konkurs „Po naszymu czyli po śląsku” to nie medialny show, popis na scenie i rywalizacja, tylko mówienie gwara, otwieranie się przed ludźmi, śląska szczerość.





Marian Waliczek

Goczałkowice-Zdrój

Na trzy lata przed przystąpieniem Polski do Unii Europejskiej postanowił, że byłoby dobrze, gdyby w Goczałkowicach-Zdroju powstało stowarzyszenie integrujące ludzi, mobilizujące do działania, a przy okazji informujące ich o możliwościach, jakie daje akcesja. W latach 1994–2002 był radnym i wiedział, że samorząd wszystkich spraw nie załatwi. Zresztą nie wszyscy chcą współpracować z gminą. Niektórym łatwiej zaangażować się w prace stowarzyszenia. Tak powstało Towarzystwo Społeczno-Gospodarcze „Inicjatywa”. Zaczynali

od dwunastu osób, dziś jest ich około trzydziścioro. Na swoje przedsięwzięcia starają się pozyskiwać pieniądze z innych źródeł, niż gminna dotacja i składki. Piszą wnioski do Fundacji Batorego, Fundacji Wspomagania Wsi, Fundacji „Nida” i innych instytucji. Na swoim koncie mają kilkanaście dofinansowań i wiele udanych imprez. Latem organizują jarmarki-promujące goczałkowickie firmy i przedsiębiorstwa. Jesienią – „Hubertusa”, czyli pogoń za lisem, aby kultywować myśliwską tradycję. W 2008 roku jako jedyni w powiecie otrzymali dotację z Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska w ramach programu „Eko-Aktywni” i zorganizowali rajd rowerowy. Za pieniądze z urzędu marszałkowskiego wydali przewodnik opisujący ścieżkę przyrodniczo-dydaktyczną w Goczałkowicach-Zdroju. W trakcie realizacji jest projekt pomysłu pana Mariana „Kuba w uzdrowisku”. Stowarzyszenie kupiło dwa konie rasy śląskiej i bryczkę, dzięki czemu mogą urządzać przejażdżki dla mieszkańców i kuracjuszy, a zimą - kuligi. Kolejna inicjatywa „A może tak na ryby” polega na utworzeniu łowiska i zagospodarowaniu okolicznego terenu. Niestety, powódź pokrzyżowała plany i pracy nie dokończono. Wprawdzie ryby są i łowić można, ale niezagospodarowane pozostaje świetne miejsce rekreacyjne. Pan Marian ma nadzieję, że w przyszłości, kiedy zostaną zabezpieczone wały przeciwpowodziowe, uda się zorganizować nie tylko łowisko z prawdziwego zdarzenia, ale również minizoo. To trudny projekt, bo „Inicjatywa” musiałaby doglądać inwentarza, ale dla zwiedzających byłaby to wielka atrakcja. Chciałby, żeby w jego miejscowości pojawiały się kolejne stowarzyszenia, bo nie chce żyć w społeczeństwie, w którym każdy jest samowystarczalny. Gdy ludzie działają razem, jest szansa na rozwój.

Damian Wojnar

Suszec

Damian lubi występować na scenie, ale nie chce być aktorem i grać w teatrze wielogodzinnych przedstawień. Co innego powiedzieć krótki monolog, wtedy czuje się jak ryba w wodzie, szczególnie, jeżeli może mówić po śląsku. Jego talent recytatorski odkryła pani Teresa Król – szkolna pedagog organizująca w Suszcu konkursy gwary. Damian mówił gwara popularny wierszyk „Pan Hilary”, ale prawdziwym hitem w jego wykonaniu okazał się tekst o urokach życia na Śląsku, opisujący również

niekonwencjonalne metody leczenia drobnych dolegliwości, m. in. biegunki. Właśnie z tym monologiem Damian wystąpił w konkursie na Ślązaka Roku w kategorii dziecięco-młodzieżowej. Jurorzy w Radiu Katowice bardzo wysoko ocenili jego umiejętności i melodyjność języka. Zakwalifikował się do wielkiego finału w Domu Muzyki i Tańca w Zabrze. Miał tylko dziewięć lat i występ przed dwutysięczną publicznością trochę go stresował, ale kiedy po występie jurorzy zaczęli mu zadawać pytania, był już zupełnie rozluźniony. Udało się! Zdobył tytuł Młodzieżowego Ślązaka Roku 2009. W nagrodę dostał laptopa. Wprawdzie Damian ma w domu komputer, ale trudno z nim chodzić po całym domu albo zabrać do łóżka.

W nauce tekstów pisanych gwara najtrudniejsze jest odczytanie wszystkich wyrazów, które wyglądają inaczej, niż te, do których jest przyzwyczajony w książkach. Wtedy przydatne okazuje się przeliterowanie. Lubi *godać*. W domu też wszyscy *godają*. Jego ulubiony wyraz to *pultoki* (indyki). Rozśmiesza go jego brzmienie. Interesuje się również piłką nożną. Gra w „Czapli Kłryry”, kibicuje GKS-owi Bełchatów i Ruchowi Chorzów oraz Legii Warszawa. Z kadr narodowych najbardziej podobają mu się Niemcy, Holandia i Hiszpania. Potrafi też z pamięci wymienić zawodników Manchester United. Wirtualne mecze rozgrywa w swoim laptopie. Jeszcze nie wie, czy ponownie zawalczy o tytuł Ślązaka Roku, gdy będzie dorosły. A gdyby tak się stało, to może wygra drugiego laptopa albo nawet kamerę?





Janina Wójtowicz

Wisła Wielka

Haftuje od ponad dwudziestu lat. Najpierw był haft richelieu, potem koronkarstwo, a od dziesięciu lat - haft krzyżykowy. Dwie pierwsze techniki z biegiem czasu jej się znudziły. Z krzyżkami jest inaczej. Może dlatego, że bardzo lubi obrazy, a ten rodzaj haftu pozwala jej samej takie obrazy tworzyć. Jest samoukiem. Kupiła książkę z opisem techniki oraz wzorami i próbowała, próbowała, próbowała. Pamięta swój pierwszy obrazek – maciupęńki, przedstawiający ptaszka. To był dawno temu. Dziś w swojej kolekcji ma między

innymi „Mona Lisę” i „Dagę z łasiczką” Leonarda da Vinci, ale i tak najbardziej lubi haftować pejzaże. Podróżuje, zwiedza ciekawe zakątki, cieszy się pięknymi widokami. Potem może je wyhaftować i choć posługuje się gotowymi szablonami, często je modyfikuje, powiększa, dostosowuje do swoich potrzeb i wyobrażeń. Kolory nici trudno zliczyć. Samych czerwieni ma kilkanaście różnych odcieni, a jeszcze zielenie, niebieskości, żółcienie, pomarańcze... Haftuje łódzką ariadną. Polskie nici lubi najbardziej. Często haftuje na zamówienie. Wiele wzorów powtarza kilka razy, bo znajdują szerokie grono nabywców. Ale haftowanie kolejny raz tego samego nie jest już takie pociągające. Najbardziej interesujący jest obraz wykonywany po raz pierwszy, kiedy człowiek widzi, jak z nitki wyłaniają się kształty. Największą pracą, jaką wykonała, była Ostatnia Wieczerza, która powędrowała aż do Niemiec. Obraz mierzył dwa i pół metra na półtora! Zadanie wymagało precyzji, bo trzeba było wyhaftować wiele twarzy, na których każdy błąd byłby widoczny. Pracowała przez półtora roku. Ciężko było się potem rozstać ze swoim dziełem.

Od czasu do czasu pokazuje obrazy na wystawach. Co roku jest na Dniach Ziemi Pszczyńskiej i dożynkach. Chciałaby poznać inne hafciarki, z którymi mogłaby się wymieniać wzorami i pomysłami. Jej marzeniem jest wyhaftować obraz przedstawiający jezioro na tle gór, ale nigdzie jeszcze nie spotkała wzoru, który by ją zauroczył. Może kiedyś narysuje go sama?

Krzysztof Zareba

Kobiór

Pochodzi z Przyszowic. Któregoś dnia ojciec pokazał mu w telewizji swoją znajomą z dzieciństwa. Kobieta mówiła z ekranu po śląsku. Pan Krzysztof zrozumiał wtedy, że dzieje się coś ważnego, coś, co dotyczy również jego, jego korzeni i pochodzenia. To był pierwszy impuls, bo wcześniej o konkursie „Po naszymu czyli po śląsku” nie wiedział nic. Miał dwadzieścia parę lat i zdecydował, że też musi spróbować swych sił w mówieniu gwarą. Nikomu nie zdradził swojego pomysłu na wzięcie udziału w konkursie.

Dostał się do półfinału. Trzy lata później, w 1998 roku zdobył zaszczytny tytuł Ślązaka Roku.

Mówił o tym, jak mężczyzna zmienia się po ślubie. W pięciominutowej wypowiedzi był króciutki fragment o nocy poślubnej. Wszyscy zapamiętali właśnie to. Z uczestnikami konkursu, których poznał wiele lat temu spotyka się do dzisiaj. Zresztą grono laureatów z roku na rok się rozszerza. Spotykają się co najmniej dwa razy w roku, zawiązują przyjaźnie, i *godają, godają, godają...* To druga strona konkursu, której w telewizji nie widać.

Udział w konkursie otworzył przed nim nowe możliwości. Ludzie zaczęli go zapraszać na imprezy, występuje, prowadzi dożynki, biesiady, barbórki. Nie twierdzi, że ma talent. Uważa, że zaistniał, bo nie zapomniał o swoim domu rodzinnym, o swoich korzeniach i „małej ojczyźnie”.

Na brak ofert współpracy nie może narzekać. Kilkanaście lat temu, kiedy zaczynał zajmować się konferansjerką i prowadzeniem imprez, myślał, że to chwilowe zajęcie, że moda na śląskie biesiadowanie jest tymczasowa. Mylił się. Z roku na rok tego rodzaju rozrywki jest coraz więcej.

Pamięta obrazek sprzed kilkunastu lat. Wychodzi z jakiegoś spotkania, na którym, jak zwykle, mówił po śląsku. Przy wyjściu jego wzrok padł na postać starego człowieka. Wyraz jego twarzy na zawsze chyba zostanie mu w pamięci: łzy w oczach i zaciśnięta dłoń uniesiona do góry w geście triumfu, jakby całym sobą chciał powiedzieć: jeszcze im pokażemy, jeszcze nas usłyszysz. Bo dla wielu Ślżaków, szczególnie tych starszych, których historia nie rozpieszczała, ważne jest to, że wreszcie ktoś się o nich upomina, że ktoś publicznie mówi po śląsku również w ich imieniu.



Pan Krzysztof z żoną Lucyną
oraz dziećmi: Basią, Anią i Pawłem.

Jarosław Zawisza

Czarków



Niestety – nadszedł ten dzień – mały Karolek, syn państwa Boborowiczów, musiał iść do szkoły – tak zaczyna się bajka zatytułowana „Podróż”, której autorem jest Jarek Zawisza. Nie żaden pan Jarosław, tylko Jarek – uczeń szóstej klasy szkoły podstawowej w Czarkowie. Jarek lubi pisać. Bajka o małym bobrze Karolku i jego wspaniałych przygodach podczas podróży, którą odbył w poszukiwaniu prawdziwego przyjaciela, nie jest jakąś tam szkolną bajeczką, wypracowaniem klasowym na zadany temat. To całe trzydzieści pięć stron maszynopisu! Historia rozgrywa się w Berlinie, Hamburgu, Brukseli, Madrycie, a nawet Waszyngtonie! Bo kiedy Jarek wymyśla swoje opowieści, nie krępują go żadne granice. Ma dopiero dwanaście lat, ale nie brakuje mu wytrwałości, konsekwencji,

a przede wszystkim wyobraźni, żeby rozpoczęte opowiadanie doprowadzić do końca. Jego bajka w zasadzie mogłaby stać się osobną książką. Wszystkie klasy w Szkole Podstawowej nr 26 w Czarkowie słuchały historii o małym Karolku i jego niesamowitych przygodach.

Jarek nie lubi się nudzić, dlatego ciągle jest czymś zajęty. Jeżeli nie pisze, to rysuje. Głównie ołówkiem. Pierwszy zdobyty puchar był nagrodą za rysunek dotyczący pożarnictwa. Jarek odrysowuje znane obrazy historyczne i portrety władców. W swojej teczce ma poczet królów polskich Matejki i portrety pierwszych polskich prezydentów. Lubi obrazy historyczne, na których tak dużo się dzieje. Kiedy kopiuje, zawsze zaczyna rysować od dołu. Nieważne, co znajduje się w centralnej części obrazka, najpierw odrysowuje dolną część. Interesuje się historią, a szczególnie dziejami Polski.

Jest laureatem wielu konkursów i olimpiad, między innymi z matematyki, przyrody, języka angielskiego. Wśród trzech tysięcy uczestników konkursu z angielskiego, zajął piąte miejsce! W ubiegłym roku szkolnym średnia jego ocen na świadectwie wyniosła aż 5,82. Zapytany o ulubione lektury, wymienia książki Kornela Makuszyńskiego i kolejne tomy przygód Harrego Pottera.

Maria Żebrowska

Kobiór

Z zawodu jest kuźnikiem i właśnie otwiera swój własny warsztat. Ale praca zawodowa to tylko niewielki wycinek tego, co pani Maria potrafi wykonać własnymi rękoma mając do dyspozycji bibułę, skrawki materiału, szyszki i kilka innych, wydawałoby się, niepotrzebnych przedmiotów. Wszystko zaczęło się od stracha polnego, którego zrobiła na konkurs ogłoszony w Kobiórze. Potem była niebanalna pisanka wielkanocna wykonana na oryginalnym strusim jaju. Imponujących rozmiarów ozdobę okleiła mnóstwem drobnutkich koralików, które na skorupce ułożyły się w wymyślne wzory. Każdy koralik trzeba było własnoręcznie przykleić posługując się pęsetą. Z tego jaja jest naprawdę dumna. W swojej rękodzielniczej twórczości korzysta z różnych technik plastycznych i krawieckich. Te ostatnie przydają się szczególnie przy tworzeniu kostiumów do przedstawień Teatru Kulturalnego z Kobióra. Bo pani Maria jest również kostiumolożką i scenarzystką. Ostatnio jednak najwięcej radości daje jej ceramika. Eksperymentuje z gliną i marzy o własnym piecu do wypalania oraz kole garncarskim. Jej prace najczęściej trafiają do znajomych w formie prezentu. Niektóre wyjechały za granicę, jak na przykład obraz ze ścinków różnego rodzaju futerek, który zawędrował aż na daleką Islandię. Maluje na szkle, robi mozaiki, w zależności od natchnienia i potrzeby chwili. Sprawnym dłoniom pani Marii swój pocieszny wygląd zawdzięczają również Kobiórki – gminne maskotki. Z szyszki i filcu powstaje śmieszny ludzik z bystrzymi oczkami i w kapelusiku z piórkiem. Nikt nie uczył jej rękodziela, choć przyznaje, że, szczególnie podczas pracy w teatrze, przydaje się kuźnierskie doświadczenie. Wie, jak zrobić kostium i perukę, jakie zastosować szwy, żeby kostium dobrze wyglądał. Uczy się od innych bacznie obserwując. Zapożycza motywy, stara się je przerobić, unowocześnić, aby tworzonemu przez siebie przedmiotom nadać indywidualny charakter. Lubi próbować nowych rzeczy, szuka wyzwań. Praca własnych rąk cieszy ją przecież najbardziej.



Tadeusz Żyła

Jankowice

Z wykształcenia jest mechanikiem. W latach 90. założył własną firmę – prowadzi sklep z częściami do maszyn, głównie do ciągników. Bywało, że jego klienci chcieli pozbyć się starych maszyn rolniczych, bo dla wielu ich wartość była wartością złomu. Pan Tadeusz w tym „złomie” dostrzegał coś więcej. Tak zaczęła się jego kolekcjonerska przygoda. Stare maszyny interesowały go ze względu na ciekawe konstrukcje i estetykę wykonania. Zdawał sobie sprawę, że za parę lat znikną z gospodarstw zupełnie, postanowił więc ocalić je od zapomnienia. Chce, żeby zgromadzony przez niego sprzęt był kompletny i w miarę sprawny, dlatego zdobycie eksponatu jest tylko pretekstem do uruchomienia całego cyklu prac remontowych i konserwatorskich. Na placu przy domu stoją grabiarki do siana, kopaczka do ziemniaków na drewnianych kołach, kosiarki i pługi konne, cepy, żarna, wóz drabiniasty, powozy i sanie. Pan Tadeusz sporo wie o swojej kolekcji. Zna historię maszyn i potrafi o niej ciekawie opowiadać. Ale sprzęt wystawiony przy

domu jest tylko przedsmakiem tego, co można zobaczyć w budynku dawnej siedziby firmy, zaadaptowanym na potrzeby hali wystawienniczej. Pokażna kolekcja zegarów, liczone w setkach tysięcy z herbami miast z całego świata, polskie pieniądze z 1794 roku, pieniądze z Księstwa Cieszyńskiego i Księstwa Pszczyńskiego okresu inflacji 1914–1924 i próbna seria polskiej wersji Euro, które początkowo miało wejść do obiegu już w 2006 roku. Jest tu sala zaaranżowana na wzór śląskiej izby i leśna scenka z wypchanymi makietami wilka, rysia, sarny i wielu innych zwierząt i ptaków naszych lasów. Podczas ostatnich dożynek po raz pierwszy udostępnił swoje zbiory mieszkańcom. Ludzie byli zadziwieni, że tuż obok nich ktoś zgromadził tak wiele przedmiotów mających swoje własne historie. Lubi, kiedy między eksponatami zachowana jest ciągłość, łatwo wtedy pokazać, jak zmieniał się wzornictwo. Dlatego w jego kolekcji można zobaczyć zarówno rzeczy wiekowe, jak i współczesne. Sentyment do przeszłości wyraża się także w jego drugiej pasji. Od 2003 roku działa w pszczyńskim Bractwie Kurkowym. Jest jego wiceprezesem. W 2006 roku w Holandii stracił kura zdobywając tytuł Europejskiego Króla Strzelców Historycznych. Jest drugim w historii Polakiem, któremu udało się zdobyć to trofeum.



spis treści

Agnieszka Bieryt, Pawłowice	str. 5	Alojzy Kuś, Suszec	str. 30
Marcin Ficek, Pawłowice	str. 6	Anna Kuśka, Wisła Mała	str. 31
Tadeusz Gach, Pawłowice	str. 7	Janina Lazar, Pielgrzymowice	str. 32
Dariusz Grodoń, Kryry	str. 8	Helena Malcher, Góra	str. 33
Marek Gruszka, Kobiór	str. 9	Bogusław Musiolik, Suszec	str. 34
Bogusław Grzywa, Piasek	str. 10	Renata Nowok, Ćwiklice	str. 35
Jan Gwóźdź, Wola	str. 11	Zygmunt Orlik, Kryry	str. 36
Anna Haka, Wisła Wielka	str. 12	Łucja Paszek, Brzeźce	str. 37
Kazimierz Hanusek, Wisła Mała	str. 13	Tadeusz Paszek, Suszec	str. 38
Damian Herman, Warszowice	str. 14	Edward Pelka, Suszec / Gorzyce	str. 39
Stanisław Hochuł, Goczałkowice-Zdrój	str. 15	Anastazja Pękała, Wola	str. 40
Martyna Karolak, Golasowice	str. 16	Mieczysław Pieprzyk, Goczałkowice-Zdrój	str. 41
Anna Kine, Suszec	str. 17	Janina Rabaszowska-Grzyb, Goczałkowice-Zdrój	str. 42
Romuald Kłakus, Kobiór	str. 18	Bożena Rokita, Goczałkowice-Zdrój	str. 43
Grażyna Kois, Kobiór	str. 19	Teresa i Hieronim Staszakowie, Kobiór	str. 44
Tadeusz Kolny, Studzionka	str. 20	Rodzina Szenderów, Suszec	str. 45
Maciej Komandera, Miedzna	str. 21	Krzysztof Śmieja, Łąka	str. 46
Feliks Konieczny, Łąka	str. 22	Otylia Trojanowska, Studzionka	str. 47
Renata Kordys, Kobiór	str. 23	Marian Waliczek, Goczałkowice-Zdrój	str. 48
Wiesława Korzeniowska, Goczałkowice-Zdrój	str. 24	Damian Wojnar, Suszec	str. 49
Alfred Kotas, Suszec	str. 25	Janina Wójtowicz, Wisła Wielka	str. 50
Marek Król, Pielgrzymowice	str. 26	Krzysztof Zaręba, Kobiór	str. 51
Teresa Król, Suszec	str. 27	Jarosław Zawisza, Czarków	str. 52
Paweł Kukła, Piasek	str. 28	Maria Żebrowska, Kobiór	str. 53
Adam Kulisz, Kobiór/Tychy	str. 29	Tadeusz Żyła, Jankowice	str. 54





Miejsko - Powiatowa Biblioteka Publiczna
w Pszczynie



10025354

Europejski Fundusz Rolny na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich
Europa Inwestująca w obszary wiejskie,
Publikacja bezpłatna, współfinansowana ze środków Unii Europejskiej
w ramach Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2007-2013
Instytucja zarządzająca Programem Rozwoju Obszarów Wiejskich
na lata 2007-2013 - Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi
Publikacja opracowana na zlecenie LGD „Ziemia Pszczyńska”

ISBN 978-83-62674-07-7

niniejszej publikacji w tekście na str. 42 dotyczącym ni Joanny Grzyb – Rabaszowskiej z Goczałkowic-roju oraz w spisie treści na str. 55 pojawił się błąd. awidłowe imię jednej z bohaterek książki brzmi anna, a nie, jak napisałam – Janina.

nią Joannę Rabaszowską – Grzyb oraz Czytelników pomyłkę przepraszam.

*Beata Cyganek
autorka*